



RODZINA POLSKA

MIĘSIĘCZNIK
ILUSTROWANY



WYDAWCA: ZWIĄZOK POLSKICH RODZINNYCH I WYŻSZYCH DUCHOWYCH (ZWR) - 00-141172

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK
ILUSTROWANY



UMIŁOWANI PRZEZ CAŁY NARÓD ANGIELSKI: KSIĄŻĘ KENTU I KSIĘŻNICZKA MARYNA PO ŚLUBIE.

ROK IX

WARSZAWA

<http://rcin.org.pl>

STYCZEŃ—1935

ZE ŚWIATA RADJA

Gwiazdka Polskiego Radja dla Pomorza.

Radjostacja toruńska jest 8-mą zrządzą stacją polską. Decyzja co do budowy radjostacji w Toruniu zapadła dość dawno, ale dopiero protokołem z dnia 16 marca 1934 roku przyjęło Polskie Radjo zobowiązanie budowy radjostacji toruńskiej i jej uruchomienia dnia 15 grudnia 1934 roku. Najgłówniejszym czynnikiem przy tej decyzji było postanowienie budowy całej aparatury przez Polskie Radjo we własnym zakresie. Decyzja ta wypłynęła przede wszystkim z konieczności niezależnienia się od dostaw zagranicznych i to temwięcej, że przeprowadzona kalkulacja wykazała znaczne oszczędności przy przeprowadzeniu budowy we własnym zakresie. Zorganizowany przy Dyrekcji Technicznej Wydział Budowy rozpoczął swoje prace w maju r. ub. i wywiązał się bez zarzutu, bez opóźnienia i w ramach przewidzianej kalkulacji ze swojego zadania.

Cała aparatura radjostacji jest z bardzo małymi wyjątkami produktem krajowego pochodzenia. Typ aparatury jest ulepszony, lecz podobny do systemu ostatnio wybudowanej stacji poznańskiej. Moc stacji toruńskiej wynosi 24 kw w antenie przy możliwości 90% modulacji. Jest o 50% większa od stacji poznańskiej, lwowskiej lub wileńskiej. Poza to główną zewnętrzną cechą charakterystyczną jest, że jako antena służy sam maszt antenowy. Masz ten, wysokości 160 metrów, t. j. trochę wyższy od połowy przewidzianej fali, t. j. 304.3 mtr. jest w tym celu odizolowany od podstawy i odciągnięty od ziemi z środka wysokości, t. j. w punktach najszerzej konstrukcji zapomocą 4-ch trzykrotnie izolowanych lin stalowych. Tego rodzaju antena powinna rozszerzyć zasięg promieniowania o przeszło 1/2 w stosunku do dawnych systemów antenowych. Odpowiada to wzmocnieniu bezpośrednio promieniowania w sposób podobny jak prawie dwukrotne powiększenie mocy samej stacji. Poza to aparatura wykazuje tak pod względem konstrukcyjnym, jak i elektrycznym szereg udoskonaleń, mających na celu tak sprawność funkcjonowania, jak i jakość odzwierciedlenia.

Aparatura radjostacji obejmuje urządzenia maszynowe, pompy, prostowniki i tablice rozdzielcze, umieszczone w 2-ch dolnych salkach budynku. Ponad niemi na I piętrze znajdują się pomieszczenia samej aparatury, przy czem pierwsze pomieszczenie, t. zw. sala operacyjna zawiera front tablic aparatury, odgradzając równocześnie salę operacyjną od

sali aparatury, mieszczącej wewnątrz samych szaf aparatury. Na sali aparatury umieszczone w środku biurko kontrolne, daje możliwość inżynierowi dyżurnemu automatycznego uruchomienia aparatury, oraz kontroli jej sprawności funkcjonowania. Konstrukcja poszczególnych szaf aparatury wykonana jest z chromowanej konstrukcji żelaznej i przykryta miedzianymi, aluminiowymi lub żelaznymi blachami, w celu izolowania wpływu poszczególnych obwodów elektrycznych na siebie. Przez opuszczenie szyby posiada się również kontrolę wnętrza szaf aparatury, a pomieszczenie, znajdujące się poza konstrukcją szaf aparatury, daje możliwość uskutecznienia późniejszych dalszych zmian, a nawet ewentualnego powiększenia mocy stacji. Do widocznych instalacji, należy basen z roztryskiwaczem, służący do chłodzenia wodnego lamp katodowych prostownika i ostatniego stopnia antenowego. Doprowadzenie energii wysokiej częstotliwości do masztu antenowego uskutecznione jest zapomocą specjalnej linii powietrznej, oraz domku znajdującego się przy postawie masztu.

W budynku radjostacji znajduje się ponadto salka, służąca jako studio o specjalnej architekturze, mające służyć dla zapowiedzi odczytów, oraz małych zespołów muzycznych. Dla większych zespołów przewidziane jest korzystanie z sal koncertowych lub teatrów w samym mieście. Radjostacja poza to wyposażona jest w nowe urządzenia mikrofonowo-wzmacniakowe, oraz kontrolne, umożliwiające różne kombinacje, jakie zająć mogą przy nadawaniu własnego lub retransmitowaniu programu innych stacji.

Radjostacja toruńska rozpocznie swoje transmisje na fali 304.3 mtr., t. j. na fali stacji krakowskiej. Jeżeli jednak do czasu otrzymania specjalnego generatora, mającego utrzymać stałość fali w granicach przeszło 1.100.000 i mają-

cego być dostarczoną przez Państwowy Instytut Telekomunikacyjny, przewidziana synchronizacja obu stacji natrafia na trudności, możliwe są pewne nieznaczne zmiany fali. Sytuacja ta, utrudniająca nam ustalenie fali radjostacji toruńskiej wynika z ogólnoeuropejskich trudności, polegających na braku miejsc w t. zw. eterze.

Radjostacja toruńska rozpoczęła swoje transmisje dnia 15 ub. m. przy pomocy jednak prowizorycznej anteny. Maszt antenowy bowiem nie może być jeszcze użyty ze względu na opóźnienie dostawy izolatorów pod postawę tego masztu. Do czasu otrzymania i zmontowania tych izolatorów, co nastąpi prawdopodobnie niezwłocznie po ich otrzymaniu, moc względnie zasięg radjostacji toruńskiej będzie z natury rzeczy ograniczony.

Radjostacja rozpocznie, jak każda inna stacja swoje transmisje, zwiększając stopniowo czas swoich nadawań aż do zupełnego objęcia programu. Termin uroczystości poświęcenia radjostacji odbędzie się prawdopodobnie w pierwszych dniach stycznia roku bieżącego.

Mówca radjowy z Bożej łaski.

W ostatnich czasach radjo zwróciło baczną uwagę na technikę wygłaszania odczytów i pogadanek. Kandydaci na prelegentów radjowych poddawani są ścisłej selekcji nie tylko ze względu na poziom swoich odczytów, ale przede wszystkim ze względu na radjofoniczność swego głosu. Najlepszy i najinteligentniejszy pisarz, gdy ma wadliwą dykcję, niemiły głos, niestaranną i niepoprawną wymowę, nie może liczyć na wygłoszenie swych pogadanek przez radjo. Jeśli treść zasługuje na wygłoszenie przez radjo wówczas czyta jego rzecz ktoś inny, jeśli zaś autor nie zgadza się na ten sposób, podyktowany zresztą interesem autora i słuchacza, radjo wymaga bezwzględnie przeszkolenia przy pomocy fachowego reżysera wymowy prelegenta. W wielu wypadkach przeszkolenie takie, o ile prowadzone było ze strony autora z lojalną chęcią zastosowania się do wymagań mikrofonu, dawało istotnie pożądane rezultaty.

Antenaci i druciarze.

W angielskim Urzędzie Statystyki Radjowej, urzędnik prowadzący ewidencję abonentów radjowych, dla odróżnienia tych, co mają anteny od posługujących się zamiast anteny — siecią elektryczną, oznaczył na marginesie „antenaci” i „druciarze”.



Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/4 str. — zł 700, 1/2 — zł 380, 3/4 — zł 200, 1/8 — zł 120, 1/10 — zł 70, 1/32 — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOŚI:

ROZCZNIE:

Polska	7 zł.		Czechosłowacja	40 kor. cz.
Niemcy	5 R. mk.		Ameryka	2 dolary
Francja	25 frank.		Inne kraje	7 fr. szw

PÓŁROCZNA Prenumerata w Polsce — 3 50 zł; KWARTALNA — 2 00 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 70 gr.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71.

Telefon: 240-15. — P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 11—1 przed poł. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA

MIEŚCZNIK
LUSTROWANY

ROK IX. WARSZAWA, STYCZEŃ 1935.



NASZ PROGRAM

Miesięcznik „Rodzina Polska“ rozpoczyna dziewiąty rok istnienia. Ubiegłe osiem lat wymownie świadczą o potrzebie takiego pisma w kraju i zagranicą, bo tu i tam „Rodzina Polska“ zdobyła sobie prawo obywatelstwa i dużo sympatii.

Przeszłość „Rodziny Polskiej“ była różna. Zależało to części od konjunktury ogólnej, części od stanu kasy wydawców, a dużo wreszcie od ideologii, zdolności i indywidualności pp. redaktorów. Ci ostatni między innymi mają jedną wspólną zasługę, że miesięcznik nasz przetrwał początki i dziś rozwija się niezłe. Dotychczas jednak brakowało „Rodzinie Polskiej“ pewnego jednolitego charakteru, pewnego ogólnie wytkniętego programu.

Stojąc dziś na progu „Nowego Roku“ — roku już dziewiątego naszego pisma — wartoby pomyśleć, jaki właściwie ma być charakter „Rodziny Polskiej“, jaki jej program? — Nie mamy na myśli programu szczegółowego, czegoś w rodzaju spisu rzeczy. Szczegółowy program wykreśla życie samo. Ono narzuca problemy. Ono wysuwa zagadnienia. Ono dyktuje tematy. Chodzi tu raczej o program ujęty w najogólniejsze zarysy, któreby nadały pismu pewien trwały i o silne podstawy oparty charakter. Chcemy ustalić, że się tak wyrażę, granice światopoglądowe, w ramach których chcemy zamknąć myśli i czyny, omawiane na łamach naszego pisma.

Pierwszym słupem granicznym, ustalającym charakter miesięcznika „Rodzina Polska“, ma być jej stosunek do religii i katolicyzmu. W różnych czasach, u różnych ludzi, różne bywały na te sprawy poglądy. Dziś nie jest lepiej. Nasza Redakcja wychodzi z założenia, że tylko światopogląd teistyczny jest w pełni prawdziwy i że w dzisiejszych warunkach każdy nieuprzedzony, rozumny i prawy człowiek może i powinien teoretycznie dojść od teizmu do katolicyzmu i stosować go konsekwentnie w życiu indywidualnym, rodzinnym i państwowym. Taki jest nasz stosunek do religii i katolicyzmu. A nie może być inaczej i z tego powodu, że wydawcami „Rodziny Polskiej“ są księża. Chcemy więc mocno stać na gruncie teistycznym, chrześcijańskim, katolickim i wszystkie sprawy z tego punktu widzenia zawsze omawiać.

Z okoliczności, że wydawcami „Rodziny Polskiej“ są księża, argumentują niektórzy, że treść jej powinna być tylko religijna. Nie jest to jednak zgodne ani z wolą wydawców, ani z duchem katolickim. Nie jest zgodne z wolą wydawców, bo wydawcy chcą, aby miesięcznik „Rodzina Polska“ był pismem nie dla osób duchownych jakiegokolwiek kategorii, ale przede wszystkim dla osób świeckich, które interesują się różnymi dziedzinami życia kulturalnego. Nie jest zgodne z duchem katolickim, bo chcąc uczynić wszystkie pisma, stojące na gruncie katolickim, pismami religijnymi, nie jest niczym innym, jak tylko zamykaniem katolickiej myśli i katolickiego czynu w czterech murach kościoła, a to jest zasada masonska. Moralność katolicka powinna regulować, poza dziedziną myśli, całe życie człowieka osobiste i zbiorowe. Gdzie więc sięga myśl i czyn człowieka, tam sięga moralność i tam sięga autorytet i władza Kościoła. Pisma zaś nie tylko religijne, ale i stojące na gruncie katolickim, mają prawo i obowiązek torowania drogi Kościołowi. W takim tedy stanie rzeczy nie tylko nie jest konieczne, ale nawet niewskazane pisać jedynie o sprawach ściśle religijnych.

Drugim słupem granicznym, ustalającym charakter miesięcznika „Rodzina Polska“, ma być jej stosunek do polityki i rządu. Nasz miesięcznik jest zasadniczo pismem apolitycznym w tem znaczeniu, że nie stoi i nie chce stać na usługach żadnej partii politycznej, czy jakiegokolwiek ugrupowania o politycznym charakterze.

W myśl Chrystusowej zasady: „oddajcie cesarzowi, co cesarskiego“, chcemy w stosunku do rządu obecnego czy innego być nie tylko tolerancyjni, co nieraz jest nieuniknione, ale jaknajbardziej lojalni. Więcej nawet, chcemy jaknajwydatniej współpracować z rządem w dobrej i pojętej pracy państwowotwórczej. Naród polski przeżywa dziś ciężkie chwile. Wrogowie czyhają na jego wiarę i na jego wiekami uświęcone tradycje. Wszystko więc czynić będziemy, żeby polskość naszego narodu uchronić od krzywdy, a tembardziej od zagłady. W społeczeństwie polskim, niestety, zwłaszcza w starszym jego pokoleniu, dużo jest jeszcze pozostałości z czasów niewoli, kiedy to władza państwowa była de iure i de facto wrogiem narodu. Instytucja państwowa, jako taka, jest pochodzenia boskiego. Władza państwowa, niezależnie od tego, jaką drogą dochodzi do piastujących ją jednostek, pierwsze swoje źródło ma w Bogu. I państwo więc i władza państwowa, choć nie bezpośrednio, ale ostatecznie od Boga pochodzą i jako takie trzeba je traktować. Ludzkiego pochodzenia są granice państwa, ustroj państwowy, większość praw państwowych, połączenie władzy państwowej z tą czy inną osobą, albo z tą czy inną grupą osób etc., etc. Zaś wszędzie, gdzie są ludzkie elementy, są i ludzkie słabości, ułomności, a czasem i zła wola. Ile razy tedy zajdzie konieczność, że tej czy innej instytucji, tej czy innej osobie trzeba będzie wytknąć uchybienia lub, co gorsze, napiętnować złą wolę, będzie to w naszym piśmie raczej życzliwe upomnienie, niż złośliwa krytyka, raczej żądanie poprawy, niż złośliwe wyciąganie wniosków i nielogiczne uogólnianie.

Trzecim wreszcie słupem granicznym, ustalającym charakter miesięcznika „Rodzina Polska“, ma być jej stosunek do życia i Czytelników. O czem więc będziemy w „Rodzinie Polskiej“ przedewszystkiem pisać? Tytuł naszego pisma „Rodzina Polska“ podsuwa myśl, że o sprawach rodzinnych, i tak też chcieliby niektórzy. Jednak niestuszenie. Najpierw dlatego, że gdybyśmy zaczęli pisać tylko o sprawach w ścisłym tego słowa znaczeniu rodzinnych, t. j. prawie tylko o wzajemnym stosunku męża do żony i rodziców do dzieci, „Rodzina Polska“ stałaby się pismem zbyt specjalnym. Szczęście rodzinne wprawdzie zależy przede wszystkim od wzajemnego stosunku męża do żony i rodziców do dzieci, ale bardzo dużo też od wielu innych czynników indywidualnych czy społecznych, niemających pozornie żadnego z rodziną kontaktu. Zresztą tytułu „Rodzina Polska“ nie trzeba zacieśniać. „Rodzina Polska“, to cały naród polski, żyjący czyto w kraju, czy na emigracji. I tak pojęta rodzina polska obejmuje całe miliony, a jej zainteresowania są tak liczne, jak liczne są zainteresowania składających się na te miliony jednostek.

Z lojalnością więc wobec religii i Kościoła, z lojalnością wobec państwa i rządu, a przede wszystkim z lojalnością wobec aktualności życiowych i P. T. Czytelników rozpoczynamy nowy rok, rok dziewiąty naszego wydawnictwa. Potrójna ta lojalność ma być w ogólnych zarysach wykreślonym charakterem naszego pisma i jego programem ogólnym.

DOSTOJNY JUBILAT

Pierwszy obywatel Państwa, Prezydent Ignacy Mościcki, jest jednym z czołowych przedstawicieli nauki. Powaga jego w tej dziedzinie ma szeroki bardzo zasięg wprost europejski. Złożyło się na to trzydzieści lat wysiłków uczonego, który swą wiedzę umiał zamieniać na wartości praktyczne dla życia. Prof. Ignacy Mościcki, technolog-chemik, już na początku swej kariery naukowej zainteresował się problemem, który, pogłębiając przez lat kilkadziesiąt żmudnych wysiłków, wyzyskał następnie dla doniosłych odkryć.

Lecz pierwsze lata upływały na ciężkim zmaganiu się o byt. W roku 1892 po ukończeniu politechniki w Rydze, prof. I. Mościcki musi pójść na tułaczkę. Pięć lat spędza na przełamywaniu się z życiem w Londynie. Pracuje dla zarobku w porcie, w fabrykach chemicznych metropolii brytyjskiej, a jednocześnie bierze udział w konspiracyjnej pracy i w walce dla Polski.

W r. 1897 zostaje asystentem we Fryburgu i tu ma możliwość wejść na teren poważnych studiów naukowych. Tworzy nową metodę wydobywania kwasu azotowego z powietrza. W ten sposób został rozwiązany problem sztucznego nawozu azotowego, zastępującego saletrę chilijską.

Do tej epoki odnosi się charakterystyczne wyznanie prof. Mościckiego w pierwszej jego pracy, ogłoszonej przez Akademię Umiejętności w Krakowie w r. 1904.

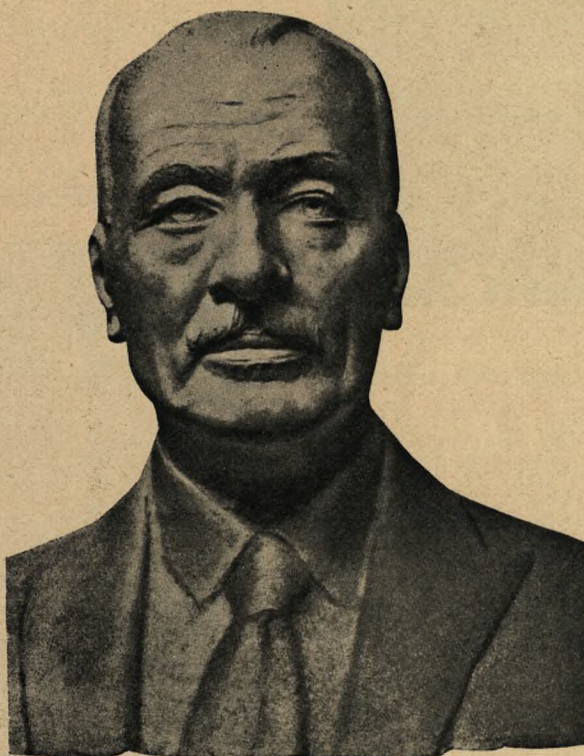
Czytamy tam:

„Na początku 1902 r., kiedy ukończyłem pracę odnoszącą się do technicznego wytwarzania kwasu azotowego z powietrza za pomocą elektryczności, okazało się, że niema kondensatorów technicznych o wysokim napięciu do tego potrzebnych“.

I oto chemik przeradza się w elektryka. Prof. Mościcki zajmuje się kwestją budowy kondensatorów. Wynik jest znakomity. Szereg patentów pojawia się na rynku. Powstaje we Fryburgu konsorcjum do produkcji. W kontrakcie mamy wyraźne zastrzeżenie: licencja nie obejmuje terenów Polski.

A w najbliższym czasie największa na świecie stacja iskrowa Eiffila w Paryżu rozsyła swe depeze przy pomocy kondensatora systemu I. Mościckiego o napięciu 100.000 woltów.

Za tym idą dalsze wynalazki. W r. 1905 powstaje nowy model pieca elektrycznego do produkcji kwasu azotowego. Rok 1908 zaznacza się wybudowaniem fabryki dla produkcji tego kwasu w Chippis. Lecz dopiero w r. 1910 wychodzi stąd pierwsza na świecie cysterna stężonego kwasu azotowego z powietrza.



Popiersie Pana Prezydenta Prof. Ign. Mościckiego, ustawione w Politechnice Warszawskiej.

Rok 1912 okazuje się przełomowym w karierze naukowej prof. Mościckiego. Powstaje nowa metoda produkcji cjanowodoru. Ze skali doświadczalnej rzecz rychło przechodzi do przemysłu w fabryce „Azot“ pod Jaworzniem. Jednocześnie prof. M. otrzymuje od politechniki lwowskiej zaproszenie ad personam do objęcia katedry chemii fizycznej i elektrochemii. Tu organizuje Instytut Elektrochemiczny, oraz opracowuje plany fabryk w Miluzie i później w Borach. W trakcie tych prac wybucha wojna, która każe prof. Mościckiemu dzielić swe wysiłki między pracę naukową i służbę obywatelską. Dwaj synowie jego idą do Legjonów.

Jak widzimy, w sposób wysoce godny, bo zarówno na odcinku naukowym, jak i obywatelskim, daje prof. Mościcki wyraz zasadniczemu pragnieniu poświęcenia reszty życia rozbudowie i odrodzeniu Państwa.

Jednocześnie pochłania go myśl stworzenia środowiska, „w którym możnaby wyszkolić cały szereg młodych ludzi w kierunku twórczej pracy technologicznej“.

Dzięki temu dążeniu, powstaje w r. 1916 „Metan“ chwilowo pracujący w dziedzinie gazów ziemnych i przeróbki ropy.

Następują nowe wynalazki i metody rozwiązujące kwestję destylacji i przeróbki ropy (emulsja ropna nie służy już napróżno do rowów), chlorowania, węglowodorów, produkcji gazoliny.

Niepodległość osiągnięta, pozwala prof. Mościckiemu na dalszą realizację jego planów. „Metan“ przeradza się w r. 1922 w Chemiczny Instytut Badawczy. W tymże roku Chorzów pod kierunkiem prof. Mościckiego wraca do produkcji wbrew przewidywaniom Niemców, którzy zniszczyli w celu jego unieruchomienia plany. W r. 1925 prof. Mościcki obejmuje katedrę na Politechnice warszawskiej. 1 czerwca 1926 r. zostaje wybrany Prezydentem. W ten sposób od rejsbretu i retort, przez katedrę profesorską, dochodzi do prezydenckiego fotelu człowieka, który szczęśliwie zespala w sobie wszystkie cechy nowoczesnego humanizmu: szeroką wiedzę i gruntowną praktykę przemysłową, polot badacza i metodę dyrektora i pedagoga, kierownika placówek przemysłowych i technicznych, a wreszcie wielkość ducha obywatelskiej służby.

Jest doprawdy rzeczą dobroczynną, że w pierwszych latach naszej niepodległości objął stanowisko Prezydenta człowiek, łączący w sobie umiar uczonego z nastrojem patrioty. Niewątpliwie zalety te w zmiennych stosunkach naszej młodej państwowości zaznaczyć się musiały, stwarzając pewną stałość wśród społecznych tendencji.



Wieś łużycka.

Dziwnem jest jak mało wiemy o tym narodzie. Naogół tyle tylko, że są gdzieś pod Berlinem, jakieś resztki Słowian, jakieś pozostałości bez znaczenia i przyszłości, skazane na nieuchronną zagładę. A często wiadomości o nich są poprostu dziwaczne. Zdarza się, że ludzie skądinąd wszechstronnie wykształceni, nie umieją ich odróżnić od Serbów Bałkańskich, lub nawet twierdzą, że Łużycanie mieszkają na Łotwie.

Nieuświadomienie i płynąca stąd obojętność na losy najbliższego nam językiem i pochodzeniem, narodu, są poprostu zdumiewające.

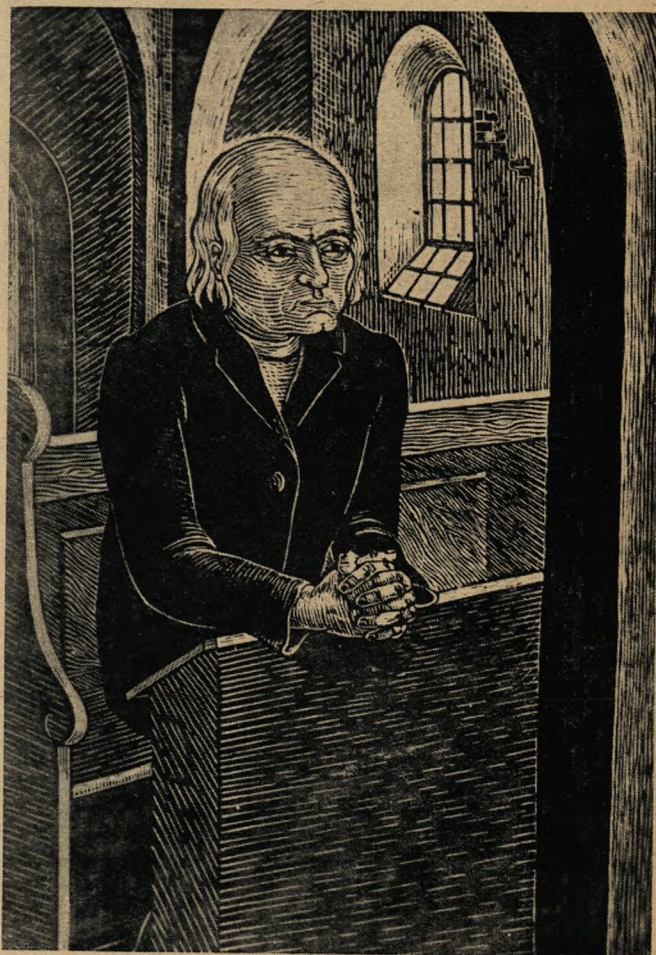
A przecież chodzi tu o naród, który nie potokami, ale rzekami krwi własnej i tysiącletnią beznadziejną niewolą okupił całość narodu polskiego. We wczesnym średniowieczu, gdy cała słowiańszczyzna zachodnia drżała pod ciosami germańskiej nawały, mężny opór jaki stawili najeźdźcom Serbowie, pozwolił ich braciom na wschodzie na utworzenie potężnego państwa polskiego; a potem naród serbski wytrwale trzymający się swej narodowości przez długie wieki stanowił pierwszą przeszkodę, jaką na swej drodze na wschód napotykała fala niemczyzny. Przed lat tysiącem Serbowie Łużycy byli wielkim narodem zamieszkującym ziemię po obu stronach Łaby pomiędzy Salawą na zachodzie, a Odrą i Bobrą na wschodzie położone, lecz byli, jak wszyscy ówczesni Słowianie, podzieleni na odrębne plemiona: Głomaczów, Dalemińców, Łużyczan, Milczan, Lubuszan i wiele innych. Już w IX wieku zetknęli się Serbowie z Niemcami; zbrojne zastępy niemieckich rycerzy, wsparte o dwie największe wówczas potęgi Kościół i cesarstwo wdzieraly się wgłąb słowiańskiej



Zagroda łużycka.

SERBOWIE

ziemi. Ustanawiano marchje i biskupstwa, budowano zamki i klasztory, chrzczono pogan i zamieniano wolnych dotąd ludzi w poddanych. Słabe plemiona słowiańskie jedne po drugich uległy przemocy. Zdawało się, że Niemcy bezpiecznie sięgać mogą po coraz nowe zdobycze, niema granic dla cesarstwa na wschodzie. Nagle wśród ujarzmionych, zda się na zawsze, Serbów



Łużycanin

wybuchalo powstanie. Ginęły marchje i biskupstwa, niszczone zamki, wracała dawna swoboda. I znów, Niemcy dokonywali podbojów, przywracali marchje i biskupstwa, odbudowywali zamki i klasztory, a przytem wycinali w pień całe plemiona lub dziesiątkami tysięcy sprzedawali niewolników hen, aż do Afryki czy Andaluzji.

Taki stan ciągłych podbojów i powstań trwał bardzo długo i Niemcy nie czując się na dobre panami tej ziemi nie mogli bezpiecznie dokonywać dalszych podbojów na wschodzie, gdzie tymczasem wyrosło nowe potężne państwo — Polska Chrobrego.

Serbowie doczekali się pomocy. Bolesław Chrobry jednoczy Słowiańszczyznę zachodnią do walki z Niemcami. Po długiej kilkunastoletniej wojnie, przy żywym współdziałaniu ludności miejscowej, uwalnia spod panowania niemieckiego wschodnią część kraju Serbów: Miśnię i Łużyce.

ŁUZYCCY

Niestety po śmierci Chrobrego ziemie te zostają wydarte Polsce. Niewola wróciła nanowo. Tylko wspomnienie tych czasów zachowało się na długo w pamięci serbskiego ludu. Dodziśnia lud na Łużycach nuci piosenkę sławiącą czyny serbskich wojowników, pod rozkazami polskiego króla.

Po powrocie pod jarzmo niemieckie, Serbowie nie



Łużyczanki.

mogli się pogodzić z losem. Wciąż wyglądali pomocy ze Wschodu. Jeszcze w 1110 roku, po klęsce poniesionej przez Niemców na Psim Polu Serbowie chwytają za broń. I to powstanie zostało jednak po kilkunastu latach stłumione. Po śmierci Bolesława Krzywoustego podzielona na dzielnice Polska nie była w stanie udzielić swym braciom skutecznej pomocy i Serbowie popadli w długą beznadziejną niewolę, trwającą do dnia dzisiejszego.

Znany jest los ludów słowiańskich, które się w niewolę niemiecką dostały. Wydarto im poczucie odrębności narodowej, mowę ojczystą i wreszcie uległy one całkowitemu zniemczeniu. Niema w tem zresztą nic dziwnego, jeżeli się zważy, w jakich warunkach się ta przemiana narodowości odbywała. Po podbiciu przez Niemców Słowianie, pogardliwie Wendami zwani, zostali obrócenii w poddanych, własność szlachty



Most nad Szprewą.

niemieckiej i kościoła. Obciążano ich nadmiernymi podatkami i pracami przyczem zabierano im ziemię, domy i dobytek, a jak świadczy kronikarz niemiecki Thietmar, łada obwinienie było powodem do rozsprzedaży słowiańskiego rodu w niewolę. Tysiącami pędzono Słowian do zachodnich prowincyj nad Renem i Menem, rugowano z grodów i włości na nieurodzajne pustkowie. Na ich miejsce natomiast przybywali przybysze z Niemiec, osadnicy, mieszczenie, szlachta, duchowieństwo. W ten sposób powstawały w ziemi serbskiej osady niemieckie małe zrazu, lecz później rozszerzały się liczebnie i pochłaniały żywioł miejscowy.

W miastach Słowianie stanowili najuboższą i najbardziej upośledzoną klasę społeczną. Nie przyjmowano ich do cechów, odmawiano prawa uczenia się rzemiosł, a gdy przyjmowano terminatora, to wymagano od nich świadectwa, że pochodzą z dobrej krwi niemieckiej, a nie z narodu wendyjskiego.

W sądach nie wolno było Słowianom świadczyć przeciwko Niemcom. Język ich był przedmiotem wzgardy i szyderstwa. Nie wolno go było używać w sądzie, a Fryderyk Wielki zabronił nawet ślubów udzielać tym, co po niemiecku nie umieli.

Nic dziwnego, że w takich warunkach, trwających przez wiele stuleci, większość narodu uległa wynarodowieniu. Dwa tylko najodporniejsze plemiona serbskie zdołały uchronić się przed zniemczeniem i zachować swą mowę i dawne zwyczaje. Są to potomkowie Milczan i Łużyczan, znani pod jedną nazwą Serbów Łużyczych, zamieszkujących kilka powiatów Saksonji i Prus nad Szprewą, pomiędzy Berlinem, a granicą czeską. Otoczeni zewsząd morzem niemieckim, odcięci od innych



W łużyckim lesie.



Młoda Łużyczanka nad Szprewą.

Słowian, nie mając innego piśmiennictwa prócz katechizmu i książek do nabożeństwa, znaleźli jednak dość sił, aby w 19-ym wieku dokonać wielkiego dzieła odrodzenia narodowego. Dzięki zniesieniu poddaństwa, co miało miejsce w początkach ubiegłego wieku, Serbowie uzyskują wolność osobistą, polepsza się ich byt materialny, zaczynają kształcić swoich synów. Na uniwersytetach młodzi studenci stykają się z innymi Słowianami, pod ich wpływem zaczynają się interesować swym własnym narodem, tworzą kółka, samokształceniowe do nauki ojczystego języka, historii, geografii. Z kółek tych wychodzą najlepsi patrioci i działacze narodowi: Smoler, Zejler, Lubenski, Kłosowski. Powstają zaczątki prasy łużyckiej. Podczas wojen napoleońskich cieśla, Jan Dejka, wydaje przez lat parę w Budziszynie pismo „Serbski Kurjer“, potem organizacja akademicka „Sorabia“ wydaje z wielkim nakładem pracy pismo „Serbskie Nowiny“, z braku środków nie drukowane, lecz przepisywane ręcznie w dużej ilości egzemplarzy.

Wysiłki te zrazu rozproszone nie idą na marne i uświadomienie narodowe zatacza coraz szersze kręgi.

Przychodzi rok 1848 „Wiosna Ludów“, podczas rewolucji w Saksonji udaje się Serbom uzyskać pewne

prawa językowe w dziedzinie szkolnictwa, w sądownictwie i urzędach. Dzięki tym uprawnieniom Łużyce Górne, należące do Saksonji stają się ostoją życia narodowego.

Już w 1848 roku, zostaje założona w Budziszynie „Macierz Serbska“, stowarzyszenie naukowe, skupiające kwiat inteligencji łużyckiej. Odtąd Serbowie nie ustają w pracy. Z każdym rokiem zwiększa się zastęp działaczy narodowych, literatów, uczonych. Wspaniale rozwija się prasa. Powstaje literatura, mała wprawdzie ilościowo, lecz na wysokim stojąca poziomie. Literaci, uczeni, artyści serbscy zdobywają sobie światową sławę. Cały świat słowiański interesuje się losem Serbów, darząc ich poparciem moralnym i materialnym. Wybitni literaci i uczeni polscy i czescy biorą czynny udział w pracy dla dobra narodu serbskiego. Za sprawą naszego powieściopisarza Ignacego Kraszewskiego, zostaje ufundowane stypendjum na studia języka serbskiego. Niedawno zmarły w Wilnie prof. Alfons Parczewski zakłada Dolnołużycki oddział Macierzy Serbskiej, oraz „Koło Pomocy dla studujących Serbów“. Polak Wilhelm Bogusławski pisze „Historję Narodu Serbskiego“, tłumaczoną na język serbski i stanowiącą dotąd podstawę źródła dla poznania dziejów tego narodu.

Wreszcie dzięki ofiarności Serbów i pomocy okazanej przez Polaków i Czechów, Macierz Serbska zdobywa się w roku 1904 na wybudowanie w Budziszynie własnego gmachu t. zw. „Serbskiego Domu“, gdzie znalazły pomieszczenie serbskie instytucje społeczne i naukowe. Na frontonie gmachu wyryto napis: Frai Syrbi, Serbowie zuwostać, Serbowie muszą trwać i wiecznie żyć.

Wojna światowa zastała naród serbski przy pełnej pracy. Pozbawiła go wielu patriotów, którzy zginęli za obcą sprawę, osłabiła ruch narodowy, ale go nie zabiła. Zaraz, po wojnie upomnieli się Serbowie o swoje prawa. Jest to najbardziej wzruszający moment w ich historii. Naród od tysiąca lat pogrążony w niewoli zdobywa się jednak na żądanie niepodległości. Serbski Komitet Narodowy wydaje proklamację niepodległościową. Zapal ogarnia kraj cały, pod proklamacją zebrało na Łużycach Saskich 57.000 podpisów, — dwa razy tyle, ile według urzędowego spisu jest wogóle Serbów na tym terenie. Sypią się składki na cele narodo-



Kościół na Łużycach.



Procesja wielkanocna na Łużycach.

we, zdarzało się, że ludzie, co już po serbsku mówić zapomnieli, nagle przypominali sobie o swem pochodzeniu i ofiarowywali dziesiątki tysięcy do dyspozycji Komitetu Narodowego.

Niestety stanowisko Konferencji Pokojowej zawiodło nadzieje Serbów. Żadne z wielkich mocarstw nie zajęło się losem niewielkiego narodu. Nie otrzymali oni ani upragnionej niepodległości, ani nawet praw przysługujących mniejszościom w innych krajach. Natomiast ruch ten ściągnął na Łużycę prześladowania ze strony Niemców, lękających się zbrojnego powstania. Do wiosek przyszły oddziały Grenzschutzu, a kierowników ruchu oskarżono o zdradę i osadzono w więzieniach.

A po wojnie nastąpiły dla Serbów bardzo ciężkie czasy.

Utracili oni i te nikłe prawa, jakie przed wojną posiadali. Dość powiedzieć, że cały 150.000 naród nie posiada ani jednej szkoły, że język ich w sądach i urzędach uznawany nie jest, że nawet nazwiska słowiańskie nie są uznawane, lecz we wszelkich dokumentach urzędowych używa się formy zgermanizowanej.

Mimo tych tak trudnych warunków naród serbski nie upadł na duchu, lecz nadal, niestrudzenie pracuje. Literatura po wojnie zakwitła na nowo. Rozwinęła się prasa z kilkunastu pism złożona, a jedyny dziennik „Serbskie Nowiny“ osiągnął cyfrę 4.000 prenumeratorów.

Powstało wiele nowych organizacji śpiewających, teatralnych i sportowych, z których do największego znaczenia doszedł założony w 1920 roku „Sokół“, wielka organizacja, skupiająca masy młodzieży ludowej.

Ta podziwu godna wytrwałość i żywotność najmniejszego narodu słowiańskiego, zyskały mu sympatię ze strony całego cywilizowanego świata. Szczególne zainteresowanie i wydatną pomoc okazują bratniemu narodowi Czesi. U nas sprawa ta przedstawia się o wiele gorzej, bardzo ożywione przed wojną stosunki polsko-łużyckie, prawie zupełnie znikły. A przecież pomoc należy się przede wszystkim od nas, którzy aż nadto wiemy, co znaczy niewola.

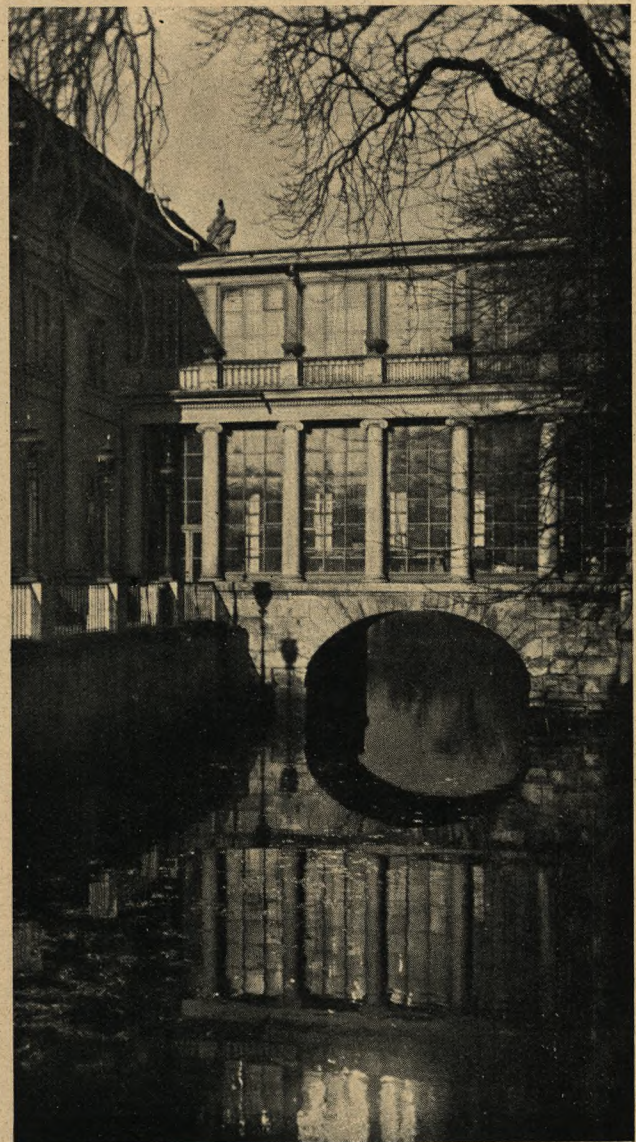
Olgiert Nowina.

W ŁAZIENKACH

*W Łazienkach duma pałac ponad lustrem wody
I ogląda swą piękność, jak próżna kobieta.
Przed domem faun porywa pełną urody
Nimfę, którą stworzył rzeźbiarz i poeta.
Balkoniki, wazonny, mostki, kapitele
W uroczą się harmonję zebrały, by razem
Stworzyć piękno prawdziwe i uroku wiele
I zawsze niecodziennym być dla nas obrazem.*

*Z kasztanów z melancholją w wodę lecę liście,
Gdy noc spowija pałac i park pustoszeje,
W ciemne okna pukają białe drzew okiście,
A dom się wnet ożywia i coś się w nim dzieje.
Tęskno dzwonią zegary, stare budząc lata..
Król Staś po salach chodzi,
Choć umarł dla świata
I króluje w pałacu zanim świt się zrodzi.*

Jerzy W. Helbich.



Fragment pałacu w Łazienkach.

JAK ZACHOWAĆ MŁODOŚĆ

Długowieczność dawniej a dziś.

Słyszac często twierdzenie o teźyżnie cielesnej i długowieczności niedawno minionych pokoleń, które rzekomo znacznie przewyższały pod tym względem ludzi współczesnych, usiłujemy przeniknąć trzeźwym i badawczym okiem w przeszłość, aby sprawdzić wiarogodność faktu i względnie jego przyczyny.

Pismo Święte przekazuje nam przykłady nieznaney w dzisiejszej dobie starości. Jednak nie wiemy, czy ówczesny rok całkiem odpowiadał podobnemu okresowi naszego kalendarza. A pozatem jakże zmieniły się warunki teraźniejszego życia człowieka i przyrody w zestawieniu z ówczesnemi!

Czy możemy je mierzyć naszą miarą?

Odmienny klimat... Wygasła flora i fauna. Całkiem niepodobne fizyczne i duchowe nastawienie ludzi...

W miejsce przesiąkniętych nikotyną ciasnych pokoi — bezbrzeżna rostocz łąk zielonych i napawających wzrok rozkoszą srebrystych jezior. Praca fizyczna rolnika i pasterza nieprzemęczająca, wśród nasycających świat ciepłem promieni lśniącej tarczy słonecznej...

Oto nastaje wieczór. Zachodzące słońce ubiera w szarawe cienie namioty tych pierwotnych ludzi, rzesza udaje się do snu, aby obudzić się wraz z pojawieniem się blado-różowego światła odrodzonego dnia.

Czy trzeba jeszcze rozwodzić się nad prostym, zdrowym, niefałszowanym pokarmem i nad zupełną nieznanością narkotyków, tytoniu i prawdopodobnie — alkoholu!

Życie duchowe, psychika pierwotnego, niezepsutego człowieka zgoła różniła się od naszej. Nastrój pogodny cechował go.

Ale wglądnijmy w życie bliższych od nas pokoleń, np. z wieków XVIII i XIX. Ludziom, słusznie czy niesłusznie, zrobiło się ciasno na świecie. W wartko bieżącym prądzie życia powstała walka o byt, rywalizacja, pałaca zazdrość, współzawodnictwo na stadionie pracy. Przepracowanie umysłowe ze stałym napięciem nerwów; niepowodzenia, troski, cierpienia moralne rozwieliły się wszędzie, od dolnych do najwyższych szczebli kultury.

Tyle zmian w sferze psychicznej.

W życiu fizycznym wyłoniły się przeciwieństwa do życia ludzi pierwotnych, a więc nocne czuwanie, często w dusznej atmosferze lokalu gry; przepracowanie fizyczne u jednych a zupełny brak ruchu u drugich, głód lub przejadanie się, pokarmy niezdrowe, zepsute lub zafałszowane. Do tego przyłącza się alkohol i związane z nim hulanki, wybryki, rozpusta, a nierzadko też narkotyki — morfina, kokaina i inne.

Dla tego też życie ludzi w nowej epoce dziejów znacznie się skróciło, aby znów podnieść się w ostatnich dziesięcioleciach naszego wieku, kiedy ludzkość zaczęła opamiętywać się i zbliżać do natury, kierując się zasadami higieny społecznej, która stoi przedewszystkiem pod znakiem czystości ulic, mieszkań, fabryk i t. d., oraz higieny osobniczej, zalecającej ruch, powietrze i czystość ciała.

Nic więc dziwnego, że przeciętna długość życia człowieka w ciągu ostatnich lat zwiększyła się o jakie lat 10.

I pesymistyczny pogląd na siły i długowieczność naszego pokolenia zgoła mylny jest, nie dający się uzasadnić.

Bądź co bądź i dziś przekroczenie stu lat wieku nie należy do nadzwyczajnej rzadkości.

W ciągu ostatnich lat kilku udało mi się zebrać garść podobnych przypadków. Fakty w każdym razie ciekawe.

Otóż w roku 1926 zastajemy w Warszawie 122-letniego weterana Michała Szurmińskiego, byłego ordynansa generała Sowińskiego. Starzec ów o czerstwej cerze, pogodnym obliczu, niestety, w owym czasie już niedomagał.

W Warszawie również w roku 1933 mieszkała przy ul. Pawiej Nr. 52 uboga staruszka żydówka Tyma-Bejła Tytelman, liczyła sobie lat 108. Młodszy od niej o dwa lata Antoni Kozłowski, z zawodu ogrodnik, zamieszkały w Schronisku Warszawskiego T-wa Dobroczywności cieszył się doskonałym zdrowiem. W roku 1934 za najstarszego warszawianina uchodził Maciej Śliwka, zamieszkały przy ul. Widok. Urodzony w roku 1817 w Wołominie, patriarcha ten przy swoich 117 latach zachował pełnię zdrowia.

Poza granicami naszego kraju mamy ludzi znacznie starszych, Matuzalemów XX wieku.

Na czele tej listy winniśmy jednak umieścić człowieka stosunkowo młodego, bo liczącego zaledwie lat sto. Jest nim paryżanin Dr. Guéniot, którego rocznice urodzin uroczyście obchodziła Francuzka Akademia Medyczna w roku 1932. W książce swej „Pour vivre cent ans“ Guéniot dał bardzo słuszne rady higieniczne dla życzących żyć długo.

Zmarły niedawno Turek Zoru-Aga, obdarzony, jak się okazało na sekcji jego zwłok, trzema nerkami (inni ludzie mają tylko po dwie nerki) liczył podobno ponad 130 lat.

W Południowej Serbii we wsi Klinowo żyje sędziwa para małżeńska — Jelka i Stojan Dimitrijewiczowie, którzy doczekali się w początkach stycznia 1934 roku przepięknych diamentowych godów, stułetniej rocznicy ślubu. Stało to skojarzwo się, gdy panna młoda miała lat 19, zaś pan młody 23 lata; Stojan Dimitrijewicz spędził większą część życia, biorąc udział w utarczkach komitadżów.

Szczególny podziw budzi w nas długie życie „ostatniej niewolnicy“, niedawno zmarłej w stanie Luizjana Północnej Ameryki, murzynki Minerwy Stone, która pomimo ciężkiego życia, jakiego zaznała w niewoli, zmarła ostatnio, przeżywszy lat 127.

Wszelako najbardziej interesującymi przedstawiają się kraje, w których długowieczność obejmuje swym zasięgiem znaczną ilość obywateli.

Do takich należą Prusy Wschodnie, Czechosłowacja... W tej ostatniej szczególnie wyróżniają się co do obfitości starych mieszkańców prowincje zachodnie. W Czechach stosunek stułetnich starców do ogółu ludności przedstawia się jak 1: 296.000, w Słowacyzynie — 1: 56.000, zaś na Rusi Podkarpackiej — 1: 28.000.

Abchazja w północno-zachodniej części Kaukazu zdaje się być kolebką najstarszych ludzi; spotykają się tam nawet 150-letni starcy. Wielu z nich zachowuje w tak późnym wieku dobrą pamięć.

W Persji ludzie, liczący 140 lat, nie stanowią wyjątków. Taka długowieczność zainteresowała znanego D-ra Woronowa, który zwiedził ten kraj celem zbadania warunków, pozwalających na tak długie konserwowanie ludzkich istnień.

Przykłady długowieczności osobniczej, a jeszcze bardziej zbiorowej, dowodzą, że nie jest wykluczoną



Kaplica w Spale z ołtarzem św. Huberta.

możliwość pogłębiania wartości fizycznej człowieka do poziomu, wychodzącego poza granicę panujących stosunków.

Z drugiej zaś strony przytoczone fakty świadczą, że nie koniecznie ludzie, opływający w dostatki, są wybrańcami losu, chociaż ci właśnie tembardziej mogą korzystać z tego dobrodziejstwa, bo o ile biednemu trudno jest dotrzeć do dobrych warunków higienicznych, o tyle człowiek dostatni może, przy dobrych chęciach, zastosować się do życia rozsądnego i umiarkowanego.

A więc jakkolwiek szczupłym operujemy materiałem, powiedzieć możemy, że długowieczność jest zjawiskiem całkiem realnym i możliwym.

Długowieczność a dobro ludzkości.

Inna rzecz, czy jest ona pożądana. Rozlegają się głosy przeciwników idei przedłużania życia, którzy podnoszą zarzuty przeważnie natury filozoficznej lub ekonomicznej. Twierdzą mianowicie, że podtrzymywanie egzystencji starców byłoby sprzeciwianiem się prawom natury, że nadmiar w społeczeństwie tych ludzi przejrzalnych zwiększyłby bezrobocie (?) i kryzys i wywarłby fatalny wpływ na całokształt życia narodów.

Ujmując w ten sposób nasze zagadnienie, musieliśmy przyjść do wniosku, iż leczyć i podtrzymywać egzystencję starców jest rzeczą szkodliwą. A przecież to sprzeciwia się ustalonej od wieków etyce chrześcijańskiej.

Niemcy utrzymują, że zwiększenie warstwy ludzi, którzy przekroczyli 65-ty rok życia, spadłoby przynia-

tającym ciężarem na barki społeczeństwa, komplikując akcję zabezpieczenia inwalidzkiego i zmniejszyloby wydajność pracy społeczeństwa. Natomiast Niemiec w roku 1910 posiadała 3 miliony ludzi w wieku ponad lat 65, obecnie ma ich 4 miliony, a za 60 lat będzie ich miała 10 milionów.

Istotnie, zwiększenie liczebności starców zagrażałoby dobrobytowi, społeczeństw, ale tylko w tym wypadku, gdybyśmy starali się mnożyć inwalidów. Natomiast walka ze starością dąży do zgoła innych celów. Dążąc do odrodzenia ustroju, pragnie ona jaknajdłużej wykorzystać siły i wiadomości, nabyte w ciągu pierwszych 25 lat życia, okresu przygotowania do działalności obywatelskiej. Dziś okres produkcyjnej pracy stanowi lat 35—40. Jeżeli okres ten, przypuścimy, o 10 lat się powiększy, to na tem społeczeństwo wygra około 20% pracy wydajnej.

Wobec tego stanowczo orzec musimy, że wszelkie obawy i w szczególności obawy zbytniego obciążenia instytucji ubezpieczeniowych są zgoła płonne i że odmłodzeni starcy, o ileby pozostawali spożywcami, nie będąc już twórcami, to w żadnym razie na przeciąg czasu nie dłużej niż obecnie, bo okres uwiązania starczego i niezdolności do pracy będzie jedynie przeniesiony na późniejsze lata życia, a może nawet się



Piękne trofeum Pana Prezydenta w Puszczy Białowieskiej. Od prawej ku lewej: Prezydent Rzplitej, Dyr. L. P. w Białowieży p. Nejman, inż. Knothe i łowczy Charczun.

ukróci. Wreszcie powiedzieć można, że przedłużenie życia pozostaje zarówno w interesie całego bytu gospodarczego kraju, jak i szczęścia rodziny i jednostki.

W kwestji walki ze starością ostatnie słowo dotąd jeszcze nie zostało wypowiedziane. Nie podlega jednak wątpliwości, iż odcinek ten nauki lekarskiej obudził poważne zainteresowanie, którego okres kryje się w mgliściej dali. A co do rozrostu tego działu nauki, to nawet w bliskiej przyszłości obiecuje on wyprzedzić inne gałęzie lecznictwa. Sanct Phar przepowiada, że już w roku 2000, dzięki realizacji nakazów profilaktyki i higieny, ustalają się nowe wytyczne postępowania lekarza: te

rapja w dzisiejszym rozumieniu wyrazu stopniowo zaniknie, ustępując miejsce zapobiegawczej i leczniczej walce ze starością.

Idea tej walki narodziła się w epoce, gdy po ustąpieniu mroków średniowiecza, poczęła budzić się uspioła myśl i porywy ducha stawiać czoło jeżącym się na drodze wiedzy trudnościom.

Pierwsze próby.

Pierwsze pomysły nie odznaczały się jednak trafnością. Myślano, że utrata soków, tych nawet, które obecnie uważamy za szkodliwe rozkruchy naszych tkanek, wycieńcza ustrój i skraca życie. Radzono przeto oblekać ciało nieprzepuszczalną powłoką, aby przeszkodzić przeziewowi skóry. A przecież wiemy, że produkty rozpadu tkanek, o ile nie są wydalane z organizmu, to go zatrują. Mniemano również, że zmniejszenie ciepłoty ciała, tłumiąc utraty organiczne, wstrzyma niszczycielski pochód czynników zagłady. Niektórzy znów twierdzili, że ponieważ ruch wyczerpuje, więc, aby żyć długo, nie trzeba wcale chodzić.

Kwestjami temi zajmowali się wybitni myśliciele: Theophrastus Bombastus von Hohenheim, inaczej zwany Paracelsus (1493—1541), Bacon, którego dzieło „De retardantis senectutis accidentibus“ (1590 r.) porusza kwestję opóźnienia wieku podeszłego, Maureau de Maupertuis i inni.

Później dopiero, z wydaniem w świat książki Hufelanda, zagadnienie zostało ujęte w oparciu na danych higieny. Dzieło to w polskim tłumaczeniu p. t. „Makrobiotyka czyli sztuka przedłużania życia ludzkiego“ (Warszawa 1828) daje rady nader mądre i celowe z dziedziny nauki o zachowaniu zdrowia, jednak mało ma wspólnego z odmładzaniem w ścisłym znaczeniu wyrazu. Rady niektórych ze współczesnych autorów opierają się również na tych dźwigarach.

Tak, uczyony rosyjski, Miecznikow, wychodząc z założenia, że jelito grube służy ze swą treścią żywnym podłożem dla hodowli licznych kolonij szkodliwych mikrobow, polecał używanie pokarmów o działaniu antyseptycznym, bakterjobójczym. Takimi pokarmami są: zwykle mleko zsiadłe oraz używana w Bułgarii odmiana tegoż, zwana Yoghurt. Nie podlega wątpliwości, że antyseptyka przewodu pokarmowego wraz z innymi przepisami higieny jest doskonałym środkiem zdrowia i oddalenia zachwiania się podstaw biologicznych, cechującego starość.

Do tegoż celu mogą również prowadzić środki mechaniczne, jak przepłukiwania żołądka i jelit.

Znakomity fizyk Mikołaj Tesla oparł swą metodę przedłużania życia na specjalnej bliżej nieznaney diecie, którą zastosowuje do siebie samego, mając nadzieję przeżyć do lat 140. Obecnie ma lat 77. Oprócz tego starano się zastosować w celach odmładzania elektryczność w postaci prądu galwanicznego, diatermji i promieni Röntgena. Stałych wyników nie otrzymano.

Powyzsze metody i zabiegi nie uwzględniają jeszcze hormonów, czyli inkretów. Hormony są to wytwory naszych gruczołów dokrewnych, t. j. skierowujących swe wydzielnie bezpośrednio do żył (wen), w przeciwieństwie do innej sieci gruczołów, pełniących funkcje usuwania rozkruchów tkanek. (np. potu, moczu) lub funkcję zasilania narządów trawienia (wątroba, trzustka i inne). Hormony dostarczają komórkom i tkankom energję życia i powracają młodość.

Obecnie nauka o hormonach stała się alfą i omegą wszelkich dociekań w dziedzinie odmładzania.

Nie wszyscy jednak współcześni badacze oparli swe poszukiwania na hormonologii. Istnieje szereg odchyleń. Są to niejako ogniwa, wiążące serję dawnych metod z współczesnemi.

Do tej przejściowej kategorii prac należą prace dwóch naszych rodaków i jednego Rosjanina. Dr. H. Jaworski stosuje zastrzyki krwi, wziętej u osobników młodych i zdrowych; przyczem koniecznym warunkiem jest dobór krwi, należącej do tej samej grupy, co krew pacjenta.

Dr. Połoński jest wynalazcą metody psycho-neurofizjologicznej, polegającej na bio-mechanicznych kompresjach uzdrawiającemi substancjami (zewnętrznie) na gruczoły tarczowy, przytarczowe i limfatyczne, naczynia domózgowe i odmózgowe, nerwy szyi, karku i kręgosłupa, co, według słów autora, powoduje ożywienie krwioobiegu w mózgu i rdzeniu i odrodzenie czynności mózgowych i nerwowych.

Z innej znów strony podszedł do rozwiązania zagadnienia dr. Ischlondsky. Twierdząc, że hormon naczelnny, t. j. najważniejszy, znajduje się we właściwych gruczołach w ilości minimalnej, większa zaś ilość jego pozostaje w postaci przedhormonu, niejako półfabrykatu, Ischlondsky używa w postaci zastrzyków w charakterze zaczynu, przeferabijającego przedhormon w aktywny hormon, tkanki zarodkowej, wziętej od zarodków zwierząt w początku czwartego miesiąca życia embrjonalnego. — Pęną modyfikację tego sposobu wprowadził dr. Rosenthal, aplikując w postaci pastylek do wewnątrz 10-dniowe embrjony kurze. Inicjatorem tej metody jest paryski prof. Alexis Carrel.

Nowe zdobycze.

Około pięćdziesięciu lat temu skarbnica wiedzy wzbogaciła się poznaniem funkcji gruczołów dokrewnych i wytwarzanych przez nich hormonów, tych kierowników wszelkich czynności naszych narządów i poskramiaczy zakusów tkanki łącznej, która, rozrastając się nadmiernie, zaczyna ugniatać konieczne dla życia ustroju komórki narządów krwioobiegu, oddychania, trawienia i innych, powodując ich zanik, który to objaw jest główną przyczyną starości.

Najlepiej zbadane i najważniejsze gruczoły dokrewnne są: 1) przysadka mózgowa i w szczególności jej przedni płat, 2) szyszynka mózgowa, 3) tarczyca, 4) gruczoły przytarczyczne, 5) grasica, 6) nadnercza, 7) trzustka, 8) gruczoł dojrzałości, zwany także młodzieńczym lub śródmiąższowym, gdyż założony wśród miąższu innego gruczołu o przeznaczeniu specjalnem. Gruczoł śródmiąższowy jest nosicielem bardzo licznych komórek Leydiga, wyrabiających ów naczelnny hormon, który oprócz własnej życiodajnej siły reguluje działalność wszystkich innych gruczołów dokrewnych.

Rok 1889 zapisał niezatartemi zgłoszkami na kartach wiedzy lekarskiej epokowe odkrycie Brown-Séquarda. Uczyony ten wypróbował na samym sobie działanie tego hormonu, zastrzykując sobie pod skórę emulsję z tego podwójnie zestawionego gruczołu królika. 72-letni starzec doznał potem wybitnego odrodzenia sił fizycznych i duchowych. Fakt ten podniósł potężną falę poszukiwań i stał się punktem wyjścia licznych metod odmładzania.

Korzystanie z hormonów, a w szczególności z hormonu naczelnego, t. j. pochodzącego z gruczołu dojrzałości, odbywało się początkowo przez zasilenia ustroju inkretami, czyli hormonami, z narządów zwierzęcych w postaci zastrzyków lub preparatów, zażywanych do wewnątrz. Niektóre z nich, jak np. hormospermin

L. Nasierowskiego, dają w wielu wypadkach dobre wyniki. Tożsamo można powiedzieć o przetworach z przysadki mózgowej, tarczycy i in., pomocnych w niektórych specjalnych wypadkach, oraz o opozonach Sumière'a.

W następnym stadium badania wstąpiły na drogę chirurgiczną. Na czele eksperymentatorów, którzy doświadczenia swe wprowadzili w życie, stoi prof. Steinach. Po głębokich dociekaniach i próbach na zwierzętach, przycem udawało się mu nawet zmieniać płę zwierzęcia w drodze przyszczeplenia odpowiednich gruczołów obcej płci, Steinach zastosował swoją operację odmładzania na ludziach. Zabieg ten polega na podwiązaniu przewodów gruczołu o specjalnej funkcji, dzięki czemu w narządzie tym o podwójnej funkcji jedna część anatomiczna zanikała. Zanikała również związana z tą częścią czynność na korzyść drugiego resortu, drugiej części tego gruczołu, która, nie mając kanału odprowadzającego, oddaje swą czynną treść do wen. Wszelako zachodzi tu obawa, czy pozbawienie narządu jednej czynności nie wpłynie ujemnie i na drugą. Wobec tego najlepszy wynik operacji zdaje się być w tych wypadkach, kiedy został wykonany tylko na jednym z tych parzystych gruczołów.

Oprócz Steinacha metodą jego po-

niej bądź je resorbuje, bądź eliminuje. Rezultat wprowadzie był, ale nietrwały.

Dalszem ogniwem w łańcuchu tych badań była metoda Dopplera. Metodę swoją oparł on na słusznej zasadzie, że aby narząd sprawniej pracował, należy gruczoł dokrewny usilnie materiałem odżywczym, t. j. krwią, zaopatrzyć. W tym celu Doppler spalał za pomocą isophenalu gałązki nerwu współczulnego, otacza-



Piękna przedstawicielka rozmnażającego się zwierzostanu w lasach spalskich.

jące kurczowo zwężone naczynia, które doprowadzają krew do gruczołu dokrewnego. Nerw współczulny oddziaływa na arterje, zwężając ich światło.

Jednak operacje krwawe zawsze połączone są z pewnym niebezpieczeństwem i przy przytoczonych zabiegach nie wykluczone są: zgorzel, ropowica i zakażenie ustroju.

Operacje Steinacha i Dopplera polegają na przywołaniu do życia hormonów w naszym organizmie obecnych, chociażby były znacznie uszczuplone. Na tej samej podstawie, na zasadzie, że „siła jest wewnątrz nas samych“, powstała w ostatnich czasach jeszcze jedna metoda odmładzania, nazwana przez jej autora *autoendokrinoterapią*. Autor tej metody korzysta w dziedzinie opoterapii gruczołowej z tych, aczkolwiek uszczuplonych, materiałów, które narządy danego osobnika same nagromadzają. Te już istniejące hormony

wprowadza drogą wpływów mechanicznych do krwioobiegu, co wskutek wzmoczonego odpływu prowadzi do obfitszego ich wytwarzania.

Nie wszystkie gruczoły dokrewnne dostępne są wpływom bezpośrednim. Atoli na niektóre, łączące na zewnątrz, przykryte jeno cienką powłoką, jesteśmy w stanie zadziałać bezpośrednio mechanicznie. Do tej grupy należy tarczyca i, co ważniejsze, parzysty gruczoł śródmiaższowy, nosiciel komórek Leydiga, które wytwarzają naczelną hormon, regulujący działalność



Żubr w parku spalskim.

sługiwali, się poczęści zmodyfikowaną, poczęści zmienioną: Harms, Michalowsky, Cavazzi i inni.

Woronow w celu odrodzenia fizycznego ustroju zastosował operację przeszczepiania tkanek, dającą świetne wyniki w rękach chirurgów przy wypełnianiu braków w tkankach za pomocą odpowiedniego materiału, wziętego od człowieka. Ponieważ o ludzki materiał przeszczepowy było trudno, wypadło zwrócić się do małp antropoidów. W tem tkwi kamień obrazu. Organizm nie godzi się na przyjęcie obcego ciała i wcześniej czy póź-

PLYNIE PRZEPIĘKNA PIEŚŃ...

Popielaty mrok panuje w ogromnym pokoju. W jednym jego kącie stoi staroświecki olbrzymi fortepian, przy nim sylwetka młodej, szczupłej dziewczyny, naprzeciwko w stylowym angielskim fotelu postać starszej kobiety. Reszta ginie w popielato-niebieskich barwach przedwieczornej godziny. Fortepian odezwał się kilkoma silnymi akordami... ucichł... i znowu odezwał się — popłynęła przepiękna melodia — „pieśni bez słów“ Mendelsohna. Znowu cisza... tak, jakgdyby w ogromnym pokoju nie było żadnych istot. Nagle mrok i ciszę przerywają leciutkie tony akompanjamentu do „pieśni matki „Selvaggiego... jakgdyby ze słowiczo-go gardła, płynie przepiękna pieśń, kołysze się w mroku, wibruje... i nagle cichnie...

— Mateńko — słychać głos od fortepianu — ja muszę koniecznie wyjechać, mam talent, wspaniały głos, chcę sławy...

— Inuś, nie mogę cię zatrzymać i ja wierzę w twój głos, ale żal chwyci mnie za serce. Z chwilą zdobycia przez ciebie sławy, będziesz dla matki stracona... ten stary fortepian nie odezwie się już pod uderzeniem twoich palców... twój głos i twoja pieśń, nie zakolysze się w tych ścianach dla uszu matki.

Ina zrywa się, biegnie do matki i ze łzami całuje jej ręce.

— Mateńko, moja sława będzie dla ciebie nagrodą za chwilę rozstania.

I wkrótce potem wyjechała. Spoczątku pisała do matki długie, obszerne listy, o tem jak pracuje, jak powoli, ale uparcie zdobywa rozgłos — zdobywa sławę. Mijały miesiące, lata. Listy przychodziły coraz rza dziej, coraz krótsze. Stara opuszczona matka, czerpała wiadomość o ukochanej córce z pism zagranicznych, cieszyła się ilekroć razy spotkała podobiznę córki, o której pisano „znakomita śpiewaczka Ina Gray“...

Ina rzeczywiście przebojem zdobyła sławę... wszystkie wielkie sale koncertowe Europy uważały za za szczyt gości u siebie śpiewaczkę... publiczność wszystkich narodowości nie szczędziła jej oklasków i entuzjazmu... Niekiedy zdarzało się, że w czasie pełnych emocji występów ogarniała Inę szalona tęsknota za matką, za jej łagodnym głosem, za jej wielką miłością. Uciekała wówczas po skończonym występie od rozentuzjowanych jej głosem ludzi i kreśliła do matki długie

listy o tem, jak bardzo za nią tęskni, jak bardzo ją kocha, jak bardzo chciałaby pochylić się do jej nóg i ucałować najdroższe nad wszystko na świecie jej ręce... w takich momentach chciała pakować walizki i jechać do matki... ale obowiązki wielkiej artystki znowu na to nie pozwoliły...

Minęło kilka lat... Ina ciągle pisała, że przyjedzie i nie zjawiała się. Tęsknota za utraconem dzieckiem przerodziła się w ciężką chorobę — zabrano ją do szpitala...

Pomiędzy białymi łózkami szpitalnymi kręci się jak duch siostra-pielęgniarka w białym płaszczu. Na sali jest cicho i spokojnie. Wszystkie chore czekają na poranny niedzielny koncert radjowy, to ich jedyna rozrywka, chwila zapomnienia o bólach i cierpieniu. Młoda, biała siostra podchodzi do jednego łóżka, na którym spoczywa stara kobieta o szlachetnym obliczu. Jest ciężko chora, ale wydaje się, że nie cierpienie fizyczne złożyło ją niemocą, a jakieś ukryte cierpienie moralne. Chora zapatrzona w dal, wydaje się nie należeć do tego świata.

— Jak się pani czuje dzisiaj, pani Gray — pyta siostra.

Chora uśmiecha się blado i nic nie odpowiada.

Siostra przechodzi dalej, od jednej chorej do drugiej, następnie włącza kontakt aparatu radjowego. Po chwili rozlega się głos speakera.

— Halo, halo, za chwilę nadamy koncert religijny z płyt... usłyszą państwo pieśń Bacha-Gounoda „Ave Maria“ w przepięknym wykonaniu znakomitej śpiewaczki Iny Gray...

Ina Gray, nazwisko to było w tej chwili objawieniem — spośród tysiącznych rzeszy radjosluchaczy — tylko dla jednej osoby... dla starej, prawie już umierającej kobiety na sali szpitalnej... Jej Ina będzie śpiewać... tylko dla niej... jak dawniej... jak wtedy, kiedy wsluchiwała się godzinami w śpiew córki, wtulona ciutko w stary fotel.

Płynie przepiękna pieśń... Jakiś dziwny blask, jakaś dziwna radość rozświetla twarz chorej pani Gray... uśmiecha się, usta szepczą — córeczko ukochana — pieśń dobiega końca. Matka Iny Gray powtarza za córką „Ave Maria“ i zamyka oczy, aby już nigdy ich nie otworzyć.

Janina Czekańska.

wszystkich innych gruczołów dokrewnych, podniecając te, co pracują leniwie, i hamując inne, co się zbyt rozpędzą. Naczelnym hormonem wnosi harmonję w działalność całego zespołu gruczołów dokrewnych — harmonję, stanowiącą *conditio sine qua non* dobrobytu całego ustroju. Mobilizowany hormon naczelnym unosi się w rozmaitych kierunkach z krwią żylną. Odbywa się irygacja ożywczym płynem całej masy komórek, stanowiących tkanki ciała, a w tej liczbie i komórek, wchodzących w skład innych gruczołów dokrewnych.

Metoda ta, dająca możność uniknięcia zabiegów operacyjnych krwawych, wymaga dla swego powodzenia pewnych warunków, a temi są: 1) żeby ustrój posiadał jeszcze pomieniony hormon naczelnym, t. j. żeby stosowanie zabiegów nie było spóźnione; pod tym względem optimum wieku będzie nieprzekroczony 65-ty rok życia; wszelako ponieważ granica poczynającego się starzenia, jak i zakończenie wstępnego rozwoju organizmu jest wielkością niestałą, to muszą być brane pod

uwagę indywidualne cechy osobnika; 2) żeby inkret był należyte jakości, dla której koniecznym jest brak znaczniejszych odchyżeń od pełnowartości całego ustroju; 3) koniecznym jest, aby narząd o podwójnej funkcji, wkład którego wchodzi gruczoł śródmiąższowy, nie był dotknięty stanem zapalnym, chorobami infekcyjnymi lub nowotworem złośliwym.

Przy całej pozornej łatwości wykonania metoda ta wymaga fachowego kierownictwa oraz stałej kontroli takich testów, jak: waga ciała, siła mięśni, parcie krwi, tętno, działalność serca, przemiany podstawowej etef.

Kończąc ten krótki przegląd dążeń naszego pokolenia ku odrodzeniu potęgi ducha i hartu ciała, winniśmy podkreślić *konieczność*, by praktyki te były stosowane wspólnie z powrotem do życia prostego, niewypaczonego zgodnie z sasadą:

Convenienter naturae vive! Żyj zgodnie z naturą.

Dr. Kazimierz Połtowicz.

WRAŻENIA Z WYSTAWY RĘKOPISÓW

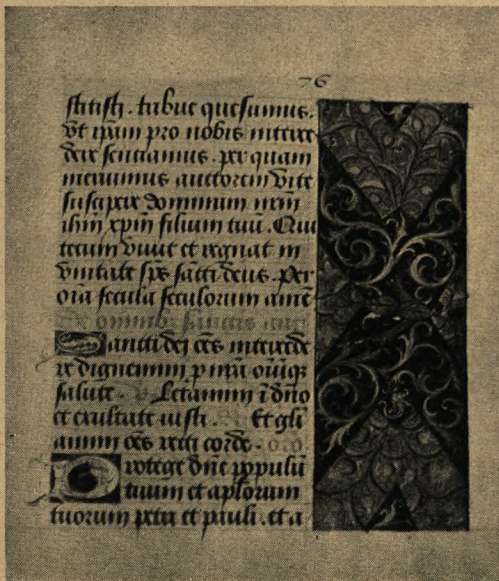
W dniu 12 listopada ub. r. zamknięto wystawę rękopisów iluminowanych, którą zainicjowała pani marszałkowa Aleksandra Piłsudska w salach pałacu Potockich. Część cennych eksponatów udzieliła Biblioteka Narodowa, ogromną większość barwnych reprodukcji użyczyła ze swych prywatnych zbiorów pani mecenasowa Wanda Neumanowa. Przez wystawę, jak mnie uprzejmie poinformowano, przesunęło się około 6½ tysiąca osób.

Niech żałują ci, którzy, mieszkając w Warszawie, nie znaleźli dwóch godzin czasu, by obejrzeć te cuda.

Przez trzy godziny chodziłem po słonecznych salach złotego pałacu i byłem, jak w czarowanym kręgu, upity urokiem starych ksiąg i ich iluminacji.

Prócz tego, że napatrzyłem się dowoli, bo lo niektórych eksponatów wracałem po parę razy, byłem mimowolnym świadkiem rozmów publiczności, które wywiązywały się przy oglądaniu.

A więc zaraz na wstępie, jedna z dwóch



Mszal z drugiej połowy XV w. (Francja).
Rewindykat Biblioteki Żalskich.



Mszal biskupa Ciolka — Kraków 1504. Rewindykat Biblioteki Żalskich.

oglądających pań odezwała się do drugiej:
— Nie myślałam, że będzie tak dużo osób i że wogóle teraz jest tak dużo osób ciekawych tych rzeczy?

— Jakżeż! — odpowiedziała jej współtowarzyszka jednocześnie prawie z obok stojącym nieznanym panem. — Dziś w wieku mechanizacji i ciągle wzrastającego tempa życia, coraz więcej ludzie wzdychają do dawnych czasów i coraz bardziej interesują się wszelkimi przejawami dawnego życia. A stara księga, a zwłaszcza jej iluminacja, powinna interesować coraz szersze masy.

Wraz z mną oglądała wystawę starsza pani, która co chwila, chwytając mnie za ramię, wyrażała głośno swój zachwyt, a przy końcu powiedziała mi wręcz: „choć nie umiem tego sprecyzować, odczuwam dziwnie silnie piękno tych przeróżnych iluminacji i czuję się dziwnie bliską tamtych wieków i tamtych ludzi“. Twierdziła, „że dopiero tu, w tych salach wśród piękna dawnych wieków czuję się nadzwyczaj dobrze i że po takiej uczucie aż żal będzie wyjść na ulicę, pełną nowoczesnego loskotu“.

Zaintrygowała mnie młoda „malarka“, która z prawdziwym umiłowaniem i igraszką cierpliwością w ciągu paru godzin kopjowała jakieś zawile fragmenty dekoracyjne jednej z odbitek mszału. Powiedziała mi z żalem: „Przerysowuję te piękne fragmenty, bo tak prędko podobnej wystawy nie będzie“.

Tyle o publiczności i miłośnikach, a teraz coś niecoś o samej wystawie.

Eksponaty ułożone były w trzech salach. W pierwszej szkoła niemiecka, XV wiek, z której mnie najwięcej podobała się odbitka z 5-tomowego Mszału, wykonanego przez B. Regensburga dla arcybiskupa Salzburga Rohra: 1) wypędzenie z raju; 2) drzewo życia i śmierci, w której bardzo plastycznie przedstawiony jest grzech i jego następstwa, gniew Boży i znikomość życia.

Następnie ze szkoły francuskiej, rok 1423 (najliczniej reprezentowanej), najwięcej podobały mi się: 1) „Znaki zodiaku“, czyli rok (12 miesięcy) w obra-



Szkoła szwajcarska. Sprzysiężeni miasta Zurychu. R. 1470.

zach, z brewjarza ks. Bedforda, kolejno przedstawione całoroczne czynności gospodarskie; z tegoż brewjarza oryginalnie ujęte 2) „Zwiastowanie“, a dalej piękna w kompozycji nadzwyczaj barwnie i precyzyjnie wykonana z kroniki Froissarta 3) „Wyprawa francusko-angielska przeciw barbarzyńcom“, dzieląca się na a) przeprawę wojsk przez morze; b) obóz obu wojsk; 4) „Turniej“ z manuskryptu Harley'a, piękny w kolorycie i ruchu i równie piękne 5) „Zakochani w ogrodzie“.

Wreszcie 6-ty, oryginalny w pomyśle, „Triumf Miłości“ (J. de Besançon). Poeta, siedzący na ławce, przygląda się rydwanowi, ciągnionemu przez siwe konie, w którym siedzi Venus i Cupido. Bogactwo stroju dziwnie odbija od skromnego, wyglądającego jak wózek od owoców, boskiego rydwanu.

Ze szkoły szwajcarskiej, XIII w., której iluminacje są pełne rycerskiego wigoru i rycerskiej baśni — ogromnie podobało mi się „Sprzysiężenie miasta ZÜRICHU“, które w załączonej odbitce obejrzą czytelnicy sami.

Ze szkoły włoskiej, rok 1374, której iluminacje są pełne finezji, najbardziej podobało mi się ujęte w 14 miniaturowych obrazach 1) „Życie Chrystusa“ (B. de Batalis i M. Giacomo) i 2) nadzwyczajnie piękny, wykonany na ciemnym pergaminie ze złotą ornamentacją fragment z Czarnego modlitewnika ks. M. Sforzy.

W sali drugiej w gablotkach pełno autentycznych „Godzinek“ i „Brewjarzy“, z których niejeden był własnością królów, duchowieństwa i możnych. Długo wpatrywałem się w te szlachetne, pokryte patyną wieków pergaminy, a uparta myśl krążyła koło jednego — jak wyglądali ci ludzie, którzy dzierżyli w rękach swych te piękne książki?

W sali ostatniej zabiło serce mocniej, gdy pod szkłem ujrzałem reprodukcje rękopisów, tworzonych pracowitemi rękoma polskich Benedyktynów i Cystersów, a więc szkoła polska (lata 1501—1522) pełna refleksów Zachodu, a przecie posiadająca nieco odrębne cechy.

Ze szkoły flamandzkiej, koniec XIV wieku, ogromnie podobały mi się Obrazki z życia N. Marii Panny i Jezusa.

Przyznaję się, że nie znalazłem zupełnie iluminacji indyjskiej i perskiej, toteż z niemałą ciekawością odczytałem napis: — „Epoka Wielkich Mogułów“. Szkoła indyjska i perska wiek XVI i XVII. Ze szkoły indyjskiej najwięcej podobała mi się Timura, reprodukcja wyobrażająca 1) Życie cesarza i pełen koloru i ruchu 2) Romans rycerski. Nad rwącą rzeką oczekuje dziewczyna swego rycerza, opodal niej zastawa, przygotowana do



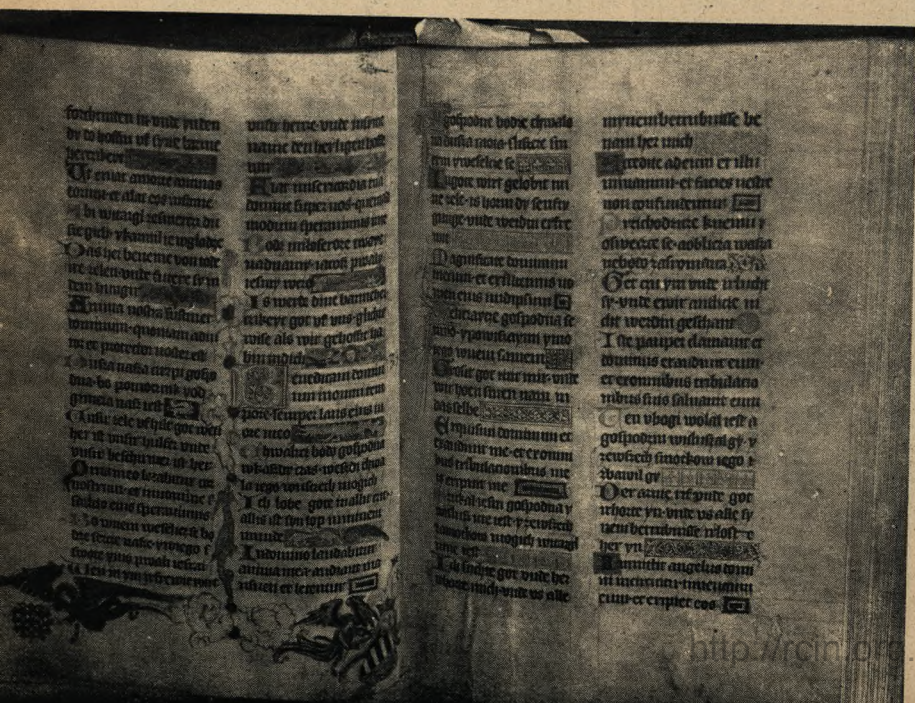
„Wyjaśnienie psalmów“ z biblii św. Ludwika. Wiek XIII.

posiłku, dalej pasie się jej koń — a przez manowce pędzi na rączym koniu rycerz umiłowany. 3) Pawie, przynęcone muzyką, zupełnie odrębnie wykonane. Ze szkoły perskiej ciekawy i pomysłowy 1) pojedynek lekarzy; 2) polowanie na lwa; 3) polowanie na dzikiego osła (?) o wreszcie 4) Bajka o kobiecie, która umarła, kichając (?). Nie potrafiłbym piórem oddać całego czaru tych iluminacji indo-perskich, bo są one już jak bajki, ludzie i zwierzęta są jacyś, jakby z innego świata; są właśnie z krainy baśni, z krainy tak bardzo lubianej przez ludzi Wschodu. Wiele z tych pięknych fragmentów przypominało mi ogromnie rysunki chińsko-japońskie, tyle o tem powiedzieć mogę.

Wychodząc z wystawy, myślałem sobie, że te dawne wieki, od XI do XVII włącznie, to były lata „wielkich mozołów“ dla pracowitych mnichów. Oczyma wyobraźni poprzez fantastyczne sploty ludzi, kwiatów, zwierząt, szatańskich ornamentów i kolorów wszelakich widziałem w cichych, samotnych celach, przy wysokich pulpitych pochylonych białych i brązowych mnichów-artystów, którzy całe lata trawili nad zdobieniem ksiąg — a ja to bogactwo pracy, pomysłów i farb obejrzałem w parę godzin. Kult książki, a zwłaszcza kult starej iluminowanej książki, jest zawsze piękny i poruszający.

Jerzy Wojciech Helbich.

Psalterz Florjański (królowej Jadwigi). Wiek XIV.



MIĘDZYNARODOWY KONGRES EUCHARYSTYCZNY



Ks. Prymas w otoczeniu duchowieństwa.

Międzynarodowy kongres eucharystyczny w Buenos Aires w swojej wspaniałości przeszedł wszystkie dotychczasowe kongresy.

Potęzną tę manifestację wiary katolickiej w Najświętszą Tajemnicę przygotowywano już od dwu lat. Jedna z bogatych pań-artystokratek, od jakich się tu roi, oddała cały pałacyk przy Avenida Alvear na biura kongresu. Olbrzymie tłumy postanowiono zgromadzić pod gołym niebem, które, mimo wczesnej wiosny, jest tu łaskawe, a w czasie kongresu było najpiękniejsze. Zgromadzenia odbyły się w parku Palermo, który w odpowiedni sposób urządzono. Potężny pomnik — Monumento Español zakryto olbrzymim krzyżem, który białą swoją, a wieczorem oświetloną, zaglądał głęboko w kłębowa ulic. Obok zbudowano oszkloną kaplicę, przed którą stanął biały Chrystus, jako Opiekun ubogich, w towarzystwie dwu aniołów apokaliptycznych; tu też na wysokości ustawiono mikrofony, przez które słowa mówców płynęły na najważniejsze arterie miasta. Wogóle świetne informacje, dawane przez obwieściciela, uświadamiały wszystkich i na ulicach i po domach o przebiegu uroczystości, a modlitwy i okrzyki, przez niego dawane, potęgowały pobożny nastrój.

Kardynał-Legat Pacelli i prezydent republiki argentyńskiej.

Przygotowano też znakomite przyjęcie gości, którzy na dnię całe przed kongresem napływali z najrozmaitszych zakątków świata całego.

Niemal wszystkie narodowości Europy miały swoich przedstawicieli. Biskup Byrne i kilku księży, którzy przylecieli samolotem z Puerto-Rico, jechali od Rio z nami na „Oceanji“, w Rio spotkałem księży z Boliwji i z Anglii, teraz wracają z nami księża z Filipin. Przybyli i goście ze Stanów Zjednoczonych, lecz w niedostatecznej liczbie. Za to Ameryka Południowa świetnie dopisała, z samej Brazylii, jak mówił wikariusz generalny, arcybiskup Duarte z San Paulo, przybyło 42 biskupów, nie licząc rzesz kapłańskich. Polonię w Paranie reprezentowało tylko dwóch księży ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy z ks. red. Janem Pałką. Zaś z Polski było nas 11 osób, czterech biskupów, czterech księży, jedna pani i dwóch panów. Dzięki temu, że na czele stał Ksiądz Kardynał-Prymas, byliśmy przedmiotem powszechnej uwagi. Niemal na każdym kroku prostujemy dziwną, a nawet dziwaczną opinię o Polakach, których prawie powszechnie uważają tu za Żydów. Kiedy Ksiądz Kardynał-Prymas przemawiał, witając kongres po hiszpańsku, słysząc było w tłumach głosy: „Pero los Polacos son catolicos“ — przecież ci Polacy to katolicy“.

Obrady plenarne toczyły się pod gołym niebem, w uroczym i rozległym parku Palermo, dokoła potężnego krzyża, widocznego daleko z ulic miasta. Rozpoczęły się 10 października, jak to zwykle bywa na kongresach katolickich, uroczystą Mszą św., odśpiewaniem Veni Creator, odczytaniem bulli papieskiej i przemówieniami powitalnymi. Miejscowy arcybiskup Ks. Luiz Coppello przywitał serdecznie przedstawicieli wszystkich narodów świata, duchowieństwo, episkopat, a między kardynałami na pierwszym miejscu Ks. Kardynała-Prymasa Hlonda. I właśnie nasz prymas rozpoczął też następnego dnia długi szereg przemówień, wygłoszonych przez delegatów.

Nieprzejrzane tłumy słuchały z zapartym oddechem jego krótkiego, męskiego postania od Polski, i jak wygłosił w poprawnym języku hiszpańskim. Długo niemilknące oklaski dowiodły, jak dostojny mówca trafił do serc argentyńskich. A jego przemówienie tem wy-





Procesja na zakończenie Kongresu.

rażniej odcinało się od następnych, że były wygłaszane tylko w języku niemieckim.

Na plenarnych zebraniach omawiali tak dostojni mówcy, jak biskup ks. Farfan z Limy w Peru, ks. Eijo y Garay z Madrytu i arcybiskup Fasolini z Santa Fe w Argentynie, królestwo Chrystusa w sercu jednostek, rodzin i narodów. Uderzało jednak, że nietyle pogłębili temat ze stanowiska teologicznego, ile podkreślali znaczenie „matki-Hispanji“ w szerzeniu królestwa w Ameryce Łacińskiej.

W czasie t. zw. Dnia Rasy, jaki tu obchodzi się uroczystości 12 października, odbyło się uroczyste zebranie w przewspaniałym Teatro Colon (teatr Kolumba), należącym do najokazalszych w świecie. Po gorąco oklaskiwanym przemówieniu największego powieściopisarza współczesnej Argentyny, p. Martinez y Zuvira (Hugo Wast — pseudonim), wygłosił półtorago-

dziny, potężny wykład prymas Hiszpanji, arcybiskup z Toledo, ks. Gomo y Tomaz. Należy on bezwątpienia do najlepszych mówców świata: nie krępując się wysoką godnością, szumiał czasem, jak potok górski, to znowu cicho grał na najczulszych strunach duszy, słuchacze byli skłonni do płaczu, to znowu często wybuchali salwami śmiechu, a oklaskom nie było końca. A mimo, że go tak oklaskiwano, jednak Argentyńczycy podobno za złe mu wzięli tę „hiszpańskość“, tryskającą niemal z każdego zdania i traktującą zbyt po macierzyńsku te dorosłą już i samodzielną córkę argentyńską.

Wszystkie jednak uroczystości przeszła w swoim feerycznym blasku procesja w dniu 14 października, która rozwinęła się wzdłuż najpiękniejszej arterji miasta, Avenida Alvear. Szły więc i szły niekończące się szeregi bractw i stowarzyszeń, kroczyły pod swojemi sztandarami poszczególne narodowości, obwieszczane przez radio, witane frenetycznymi oklaskami i okrzykami, płynęły długie szeregi zakonników i księży w białych komżach, jakiemi panie argentyńskie obdarzały swoich kapłanów-gości, a było ich tak dużo, że trudno sobie uprzytomnić, że w południowej Ameryce, a osobliwie w Argentynie panuje straszna posucha pod względem powołań kapłańskich. Olbrzymia monstrancja była umieszczona na ukwieconym wozie, umyślnie na ten cel sporządzonym, za monstrancją kłęczał w kapie kardynał-legat, a wóz pchało i ciągnęło kilkunastu księży w ornatach i dalmatykach.

Szczególnie nastrojowe było zakończenie procesji, kiedy Przenajświętsza Hostja rozbłysła wśród parku Palermo na wysokości ołtarza, na oczach miljonowego tłumu, który w skupieniu trwał w czasie końcowych modlitw i śpiewów, wglętnie oklaskami i powiewaniem chusteczek dawał wyraz swoim uczuciom. Przejęcie i wzruszenie widoczne było na twarzach. Oto przed monstrancją staje prezydent państwa i głosiło składa przepiękne śubowanie, ubrane w kłowa podniosłej modlitwy, która zaczyna się wysoce poetycznie.



Olbrzymi krzyż z głównymi odbywały się najważniejszej



Przyjęcie w palacu Ks. Prymasa w Buenos Aires.

W najpiękniejszych i najserdeczniejszych słowach oddaje naród pod opiekę Jezusa Eucharystycznego. Długo, bo przeszło kwadrans trwająca ta modlitwa prezydenta, jedyna w swoim rodzaju, stała się bezwątpienia punktem kulminacyjnym całego kongresu.

Kiedy więc blaski Monstrancji padały na nieprzejrzane tłumy, zarazowionc blaskami zorzy wieczornej, miało się przeświadczenie, że przelało się tu coś w duszy tego dotąd obojętnego narodu i że wśród tej wiosny religijnej nowa nastąpiła dla Argentyny i Kościoła era.

Kongres eucharystyczny był bez wątpienia w pierwszym rzędzie inanimacją kościelną. Szeroko i równo rozlał strumień uroczystości, łączący w jedno wszystkie narody i ludy, jakie uczestniczyły w kongresie, jednak widoczne były rozmaite prądy i dopływy poszczególnych narodowości, składające się na tę La Platę kongresową. Główny nurt tworzył bez wątpienia naród argentyński, ale i inne narodowości, zwłaszcza te, które pozostawiły tutaj osad wychodźczy, nie omieszkały urządzać sobie osobnych nabożeństw i obchodów. Nie ostatnimi byli Polacy. Rozradowani przybyciem tak dostojnych gości, uświadamiłi sobie żywo także te korzyści, które stąd wynikły i dla Polski i dla wychodźstwa.

Rzeczywiście nigdy jeszcze Polska, jak wspomniałem nie miała w tych południowych republikach tak ruchliwego i wymownego przedstawiciela jak z okazji kongresu w osobie księdza kardynała-prymasa Hlonda. Toteż na oczach naszych, z dnia na dzień rósł prestiż imienia polskiego, zbyt mało tu szanowanego, zbyt często lekceważonego, a nawet wzgardzonego; dzieje się to głównie z winy żydówek, które podają się i wśród najohydniejszego procederu za „Polaccas“ i z winy Żydów, którzy tutaj wołają być także Polakami, a jak indziej lubiani nie są. Te kilka czy kilkanaście dni pobytu Ks. Prymasa Polski w Buenos Aires, Montevideo, San Paulo i w Rio do Janeiro, te chwile rozjaśnione jego uśmiechem, udostojnione jego księżęcą powagą, ożywione jego mocnym, męskim słowem wdarły się jak złote promienie słoneczne w mroki niedoli wychodźczej, dotarły w głąb serc stęsknionych i usłały się jasnym szlakiem nadziei na długie dni



Komunja św. dzieci na Kongresie.

przyszłości. Wszyscy, szczególnie ludzie prości, a zwłaszcza ci synowie marnotrawni, pożeni z obokrajowemi córami, którzy wstydzili się już przyznać do wzgardzonej narodowości polskiej odczuwali i poznali wartość i godność polskiego imienia i dumni ze swojego pochodzenia wysoko podnieśli swoje znękane głowy.

Radość tych biednych wychodźców, wdzięczność i gościnność nie miały granic. Od chwili naszego przybycia, 8-go października, do przystani północnej (darcena norte) na La Place, aż do chwili podniesienia kotwicy, znajdowaliśmy się codziennie, niekiedy godzinami całemi w gronie rodaków, czy to na nabożeństwach, czy na zebraniach czy na przyjęciach towarzyskich, przy stole biesiadnym.

Wprost ze statku zabrano Ks. Prymasa i Biskupów jemu towarzyszących, Księża Okoniewskiego, Kubinę i Radońskiego na Calle Paraguay 3901, do pięknego kościoła św. Ducha, przy którym mieszka polski dusz-



Iluminacja placu Mayo w czasie trwania Kongresu.

pasterz, ks. Władysław Zakrzewski, na nabożeństwo polskie. Tu też gromadzili się Polacy z posłem polskim p. Mazurkiewiczem na czele, niemal codziennie na uroczyste Msze św., w czasie których biskupi nasi skolei wygłaszali kazania. Wzruszył wszystkich wymowny biskup nasz morski, pięknym porównaniem, oparłem o tło miejscowe: kiedy koczujący Indianie przenoszą swoje pielesze, Indjanka zabiera ze starego obozowiska ogień do nowego, tak i Polska winna z kraju przynieść znicz swojej polskości i wszędzie go w nowych ogniskach podtrzymać. Biskup Radoński z Włocławka ze szczególną serdecznością mówił o umiłowaniu nas przez Jezusa Eucharystycznego i potrzebie odwzajemnienia Mu się i wśród walk i pokus życiowych. Biskup Kubina z Częstochowy rozrzewił wszystkich przypomnieniem Matki Boskiej Częstochowskiej, której jest, jak się wyraził, pierwszym ministrem. Na końcowym nabożeństwie, w niedzielę 14-go października, ks. Zakrzewski, serdecznie podziękował Księdzu Prymasowi Polski i Księżom Biskupom za przybycie, może jednak zbyt serdecznie, zbyt długo, bo wszystkim śpieszyło się do parku Palermo, na główne nabożeństwo i przemówienie Ojca św.

Podobnie serdeczny nastrój miały i te zebrania i uroczystości najrozmaitsze, jakie Polonja argentyńska urządziła z okazji Kongresu i na cześć Księdza Prymasa. Na czoło wysuwa się zebranie sekcji polskiej, które odbyło się w czwartek 11 października na sali Księży Werbistów przy Calle Paraguay. Przewodniczył sam Ks. Kardynał-Prymas i zagajając, podkreślił znaczenie takiego narodowościowego zebrania religijnego wśród międzynarodowych manifestacyj. Jako pierwszy wygłosił ks. Nikodem Cieszyński z Poznania swój wykład: „Eucharystja w życiu narodów“. Wskazał tu, że cześć dla Najświętszego Sakramentu była i jest z jednej strony barometrem życia religijnego, a z drugiej jego największym wykwitem że polski naród, jak to się okazuje w historii jego, w literaturze i sztuce, jak to cudownie występuje w życiu naszego wychodźstwa, objawiał zawsze i wszędzie przedziwnie subtelne i żywe przywiązanie do tej wielkiej Tajemnicy. Znowuż biskup Teodor Kubina rozwiódł się w wykładzie na temat: „Eucharystja a rozwiązanie kwestji społecznej“ o tem, jakie cuda działała w społeczeństwie codzienna Komunia św pierwszych chrześcijan, tworząca z nich jedną, zgodną rodzinę i jak ona i dziś w tych czasach przełomu kryzysowego w myśl wskazań, płynących z encyklik papieskich, może się przyczynić do rozwikłania węzła gordyjskiego, jaki stanowi kwestja społeczna.

Niemal bezpośrednio po obradach naszej sekcji ujrzeliśmy Ks. Prymasa Polski na wysokości trybuny kongresowej przy „Momento Español“ w Palermo i kiedyśmy usłyszeli te pierwsze słowa: „Cabeme el alto honor de presentar a esto maravilloso Congresso Eucaristico International los saludos y fraternos augurios de la Polonia...“ czuliśmy, jak sztandar nasz polski przytwierdzony krzepką ręką prymasa Polski do masztu kongresowego szedł w górę i zajął miejsce między pierwszymi.

„Uważam to sobie za niezwykle zaszczyt, że przed tym przewspaniałym Międzynarodowym Kongresem Eucharystycznym stanąć mogę ze słowami serdecznego pozdrowienia i braterskimi życzeniami od Polski.

Rozumie się, że nasze pożycie społeczno-towarzystwie z Polonją w Buenos Aires nie kończyło się na obradach sekcji polskiej. Cały łańcuch zebrań pozostał w naszym wspomnieniu. A przedewszystkiem 12 paź-

dziernika to mile spotkanie uroczystościowe w samo południe w Domu Polskim, a raczej w jego ogrodach, w blasku najcudniejszego słońca wiosennego. U drzwi gościnnych tego Domu polskiego, po entuzjastycznym powitaniu przez tłumnie zgromadzoną rzeszę rodaków, którzy nie wahali się przybyć i z okolic dalszych i bardzo odległych, jak Santa Fe, Tucuman, Misiones, a nawet z Urugwaju i Brazyliji, przemówił Ks. Prymas Polski serdecznie, wprost gorąco, budząc żywy odzew w sercach zgromadzonych. Miejscowy „Głos Polski“ (z 13 X 34) nazwał słusznie jego przemówienie „wspaniałem w treści i formie, podniosłem i natchnionem, a jednocześnie ewangelicznie prostem“.

Posypały się teraz dalsze przemowy: arcyszerdeczna p. posła Mazurkiewicza, który wyraził głęboką wdzięczność Ks. Kardynałowi, że „raczył odbyć tę daleką podróż, nie tylko żeby dać wyraz przywiązania naszego do Wiary Ojców, Wiary katolickiej, lecz także, ażeby znaleźć się tutaj razem z nami, razem z wielotysięczną rzeszą emigrantów — jędrna i treściwa p. Nowińskiego, prezesa Federacji Towarzystw i Organizacji polskich w Argentynie i krótka dyrektora P. K. O. w Buenos Aires, p. dr. Rączkowskiego, wręczającego sztandar Federacji, ofiarowany przez prezesa P. K. O.,



Ks. Prymas wita się z rodakami (po lewej stronie ks. Chudziński P. S. M z Pomorza).

ZAINTERESOWANIA NASZEJ MŁODZIEŻY

Z postępem czasu, w każdej epoce, w okresie pięciu czy dziesięciu lat, zmieniają się warunki życia człowieka, a więc i jego zainteresowania oraz sposób zaspakajania ich. Przykładem najwyższego, najbardziej bezpośredniego wyrażania zainteresowań i szukania dróg w zaspakajaniu ich jest młodzież.

Często, jakaś nowa dziedziną życia, która dla człowieka dorosłego stanowi zaledwie epizod, lub taki właśnie, a nie inny przejaw życia, dla młodzieży stwarza zawyły problemat dociekań i komentarzy. Niedawno czytałam jakiś miesięcznik z roku 1923, poświęcony zagadnieniom pedagogicznym.

Między innymi umieszczony tam był wynik ankiety, przeprowadzonej wśród młodzieży z klas IV, V i VI kilku szkół średnich w Warszawie, na temat: „jaki dział w pismach codziennych najbardziej cię interesuje i dlaczego?”

Zdumiona byłam wynikiem, bowiem 65% stanowiły odpowiedzi:

„Najbardziej interesują mnie notowania giełdowe, ponieważ tatuś lub mama posiada dużo akcji takich a takich“. Dalej były uzasadnienia tego zainteresowania, jak np.: „od wysokości kursu Żyrardowa zależy mój wyjazd na wieś; albo — kiedy na Czerniaków jest bessa, mama jest bardzo zdenerwowana i niedobra dla mnie“.

20% to były odpowiedzi: „najbardziej lubię czytać nekrologi w Kurjerze Warszawskim; 5% młodych czy-

telników stanowili miłośnicy „kratek sądowych“ ukazujących się w wychodzącej wówczas gazecie „2 grosze“.

Pozostałe 10% — to były zainteresowania działami: literackim, historycznym i t. d.

Przeczytałam te cyfry, ale, niestety, nie chce mi się wierzyć, aby młodzież szkolna przed jedenastu laty mogła mieć aż tak bardzo ograniczone a jednocześnie i charakterystyczne dla owej doby zainteresowania.

Ankieta, przeprowadzona w roku 1934 na terenie kilku warszawskich szkół katolickich dwóch typów: szkoły powszechnej klas VI i VII i średniej klas IV, V, VI, VII i VIII, męskiej i żeńskiej, dała zgoła inne rezultaty.

Tematem były trzy pytania:

- 1) jakie czytam dzienniki i czasopisma?;
- 2) jaki dział mnie interesuje?;
- 3) jaki dział mnie nie interesuje?

Wyniki tej ankiety podziłam na dwie zasadnicze grupy: t. j. młodzież męską i żeńską. Nie uwzględniłam podziału na typy szkół, ponieważ w odpowiedziach zachodzą stosunkowo minimalne różnice. Ale to nie oznacza jednak równości poziomów umysłowych.

Pozatem dalsze odpowiedzi ugrupowałam według kolejności pytań. Muszę jeszcze jedno zaznaczyć, że w procentowym obliczaniu będą pozorne niedokładności powstałe stąd, że na niektórych uczniach przypada po 2—3 lub nawet więcej czasopism.

p. dr. Henryka Grubera. Gościnne przyjęcie już w samym Domu i cały bukiet niespodzianek scenicznych podany w ogrodzie przez dzieci ze szkoły p. Szygowskiego zakończyły piękną uroczystość.

Podobne uroczystości odbyły się w sobotę w „Ognisku“, pracującym w ścisłej łączności z ks. Zakrzewskim, a w niedzielę nad wieczorem w Towarzystwie polskim na Dock Sud, gdzie Ks. Prymas, słysząc, jak Towarzystwo skutecznie walczy z zakusami masońskimi, ostrzegał przed działalnością bezbożników i nawoływał rodziny do wytrwania przy wierze i polskości. Zaś delegacje wszystkich towarzystw polskich podejmował Ks. Prymas w pałacu na Avenida Alvear, gdzie zamieszkał, podobnie zwiedzał też piękne sale bankowe Polskiej Kasy Oszczędności przy Calle Leandro Aleu, jednej z najszybszych i najruchliwszych ulic w stolicy argentyńskiej.

Za serdeczne i gościnne przyjęcia, jakie nam zgotowali rodacy w Buenos Aires, zaprosili ich nasi biskupi na skromną wieczerzę pożegnalną urządzoną na naszym statku, w zielonym saloniku I klasy. Tak w serdecznym nastroju pożegnaliśmy się z przedstawicielami naszego wychodźstwa w Argentynie, wieczorem 17 października, by nazajutrz już przed południem witać się z naszym wychodźstwem w Urugwaju, w stołecznym Montevideo, gdzie pracują około polskich dusz księża Zaraza i Chudziński ze Stowarzyszenia Pallotyńców.

Tutaj w kościele Matki Boskiej Lurdzkiej, gdzie Polacy znajdują się tylko w gościnie, powitał Ks. Prymasa, ks. Zaraza, wzruszony do głębi dostojną wizytą. Ks. Prymas nie omieszkał zagrać do wytrwania i rzęszy emigranckiej w Urugwaju, która stawiała się dość licznie z miejscowym konsulem polskim na czele. Tu

też żegnaliśmy z żalem biskupa Kubinę, który miał się podjąć objazdu między wychodźcami w Południowej Ameryce.

Wspaniałe zaś przyjęcie zgotował naszym dostojnikom duchownym rząd brazylijski, podejmujący się wobec nich roli gospodarza. Więc co dla historii zanotować należy, oddawał Ks. Prymasowi Polski honory książęce, witając go i w San Paulo i w Rio przez swoich przedstawicieli konną kawalkatą itp., a przede wszystkim wręczając jemu jako i Księżom Biskupom wysoki i jedyny, niedawno utworzony order krzyża. Ponieważ zaszedł tu pierwszy wypadek wręczenia tego orderu Polakom, otrzymali przy tej sposobności order i prezydent Mościcki i marszałek Piłsudski. Ks. Kardynałowi-Prymasowi wręczał order wraz ze wstęgą sam prezydent brazylijski, Getulio Vargas, w uroczym położonym pałacu prezydenckim.

Pamiętnem było i nabożeństwo uroczyste (22 X 34) w stolicy brazylijskiej, w kościele Saõ José, gdzie witali naszego Prymasa tak rodacy z posłem naszym na czele, jak przedstawiciele społeczeństwa stołecznego. Obecni byli i kardynał Leme z biskupami i żona prezydenta, oraz ministrowie i posłowie zagraniczni. Po powitaniu, wygłoszonym z kazalnicy przez wymownego prałata, członka kapituły katedralnej, odczytał Ks. Kardynał-Prymas Polski w poprawnej portugalszczyźnie jędrne przemówienie.

Nazajutrz po tej uroczystości żegnaliśmy się już z naszymi rodakami, którzy nas dosłownie obsypali kwiatami i rzewnie patrzeliśmy, na znikające już światła uroczej zatoki, odrywając się na zawsze już od łądu Południowej Ameryki, lecz uwożąc ze sobą ważne wspomnienia z najwspanialszego kongresu i najserdeczniejszych chwil wspólnie z rodakami przeżytych.

I. JAKIE CZYTAM DZIENNIKI I CZASOPISMA?

SZKOŁA MĘSKA:		SZKOŁA ŻEŃSKA:	
Wieczór Warszawski	18%	Kurjer Warszawski	27%
Dobry Wieczór	14,	Kino	20,
Kurjer Warszawski	14	Wieczór Warszawski	9,
Dzień Dobry	9,	Gazeta Polska	9,
Kino	9,	I. K. Codzienny	5,
Nowy Codzienny	8,	Kuźnia Młodych	5,
Ostatnie Wiadomości	7,	A B C	4,
Przegląd Sportowy	6,	Gazeta Warszawska	3,
Na Szerokim Świecie	4,	Rodzina Polska	3,
Gazeta Warszawska	5,	Dobry Wieczór	3,
Express Poranny	3,	Kurjer Poranny	3,
A B C	3,	Express Poranny	3,
Kurjer Sportowy	2,	Wiadomości Literackie	3,
Kurjer Poranny	2,	Nowiny Codzienne	2,
5 groszy		Naokoło Świata	2,
Gazeta Polska		Morze	
Światowid		Pion	
Radjo-Ra		Przewodnik Katolicki	
Skaut		Rycerz i Rycerzyk Niepokal	
Łącznik Pocztowy		Światowid	
Mucha		Świat	
Przewodnik Katolicki		Tęcza	
Świat		Na Szerokim Świecie	
I. K. Codzienny		Kurjer Polski	
Tajny Detektyw		Tygodnik Literacki	
Polska Zbrojna		Wiadomości ze Świata	
Strzelec		Marianne	
B. Sztafeta		Sztafeta	
Lot Polski		Skaut	
Morze		Iskry	
Nasz Przegląd		Kobieta w Świecie i w Domu	
Fotografia Polska		To, co najmłodniejsze	
Auto i Turysta		Pszczółka	
Wiadomości Filmowe		Dekada	
Dekada		Lot	
Lot		Tygodnik Ilustrowany	
Mucha		Wiadomości Filmowe	
Wolne Żarty		Radjo	
		Dom i Osiedle	
		Na tropie	
		Moje Pisemko	
		Płomyk	
		Świat i Życie	
		Siedem Dni	
		Bluszcz	
		Moda	
		Mucha	

Na te wydaw. przypada 1% lub nawet mniej

na te p. około 1/2%

ka te wydaw. przypada 1% lub nawet mniej

na te wydaw. przypada około 1/2%

na to, czy niektóre z nich są odpowiednie dla młodego wieku.

Pozatem z klas IV i VIII szkół średnich otrzymałam 18 kartek z odpowiedzią: „Dzienników i czasopism wogóle nie czytam“.

Jest to dość ciekawe zjawisko, dlaczego w gronie prawie dojrzałym, jak klas VIII, gdzie w porównaniu z innymi klasami największe zainteresowanie jest działami: polityczno-społecznym i literackim, znajdują się jednostki, które nie biorą do ręki żadnego pisma. Czy mamy tu do czynienia z brakiem zainteresowania tą lub inną dziedziną życia, czy z zanikiem poczucia aktualności, czy też może tkwi w tem jakaś głębsza przyczyna?

Dorywczy sposób czytania gazet występuje we wszystkich klasach zarówno szkoły średniej jak i powszechnej, największa zaś ilość w klasach IV i V szk. śred. oraz VI i VII szk. powsz. Jest to zupełnie zrozumiałe, bowiem od tego wieku młodzież zaczyna się interesować zagadnieniami poważniejszymi.

NAJWIĘKSZE ZAINTERESOWANIE BUDZI

dział literacki	w kl. IV i VI	szk. śr.;
„ rozrywkowy	„ IV i V	„ „ VI i VII szk. powsz.
„ naukowy	„ VII i VIII	„ „ „ „
„ radjo-film	„ IV i V	„ „ VI i VII „ „
„ sportowy	„ IV i V	„ „ VI i VII „ „
„ sensacyjny	„ IV i V	„ „ VI i VII „ „

BRAK ZAINTERESOWANIA

działem polit.-społ.	w kl. IV i V	szk. śr.;	VI szk. powsz.
„ handl.-przem.	„ VI i VIII	„ „	
„ sportowym	„ VII i VIII	„ „	
„ sensacyjny	„ VI i VII	„ „	

Poza temi odpowiedziami miałam kilka zupełnie indywidualnych. Jeden z uczniów klasy IV szk. śr. napisał: „Gazety wogóle nie podobają mi się — wiem wszystko“.

Inny pisze, że „interesują mnie tylko pisma techniczne“.

Jeszcze inny, również z klasy IV szk. śr. bezimiennie, obawiając się swego śmiałego przedsięwzięcia, pisze: „Ja czytam to, gdzie się mordują, zabijają się sami lub innych, trują i t. d., a następnie zapisuję wszystkie takie wypadki w specjalnym bruljonie i prowadzę statystykę nienaturalnych zgonów spowodu miłości, braku środków do życia i t. p.“

Jakiś moralista z klasy V szk. śr. pisze: „Nie czytam gazet spowodu znajdujących się tam działów gorszących“, podczas gdy jego kolega uznaje tylko „kącik humorystyczny“.

Uczeń klasy VI szk. powsz., który czyta aż 8 pism codziennych i perjodycznych, mówi: „Interesuje mnie każdy jeden dział, który jest w czasopiśmie lub gazecie napisany“.

Drugi uczeń z tej samej klasy pisze: „Interesuje mnie cała gazeta“. I trzeci wreszcie lubi czytać: „jak spadł samolot, wieś się pali i tym podobne“.

Uczeń klasy VII szk. powsz., na pytanie, jaki dział nie interesuje? — odpowiada: „Wypadki, morderstwa i różne plugawe (plugawe przez ó) powieści, na które ze wstrętem patrzę“.

Czasem odzywa się jakaś miłośniczka muzyki z klasy VI szk. śr., lub wielbiciel malarstwa i sztuki z klasy VII szk. powszechnej.

Tak w świetle ankiety wyglądają współczesne zainteresowania młodzieży.

Izabela Hentzlówna.

II. JAKI DZIAŁ NAJBARDZIEJ MNIE INTERESUJE?

SZKOŁA MĘSKA:		SZKOŁA ŻEŃSKA:	
naukowy	32%	polityczno-społeczny	41%
sportowy	30,	sportowy	18,
sensacyjny	15,	literacko-artystyczny	14,
polityczny	12,	Rozrywkowy	11,
radjo-film	4,	radjo-film	10,
literacko-artystyczny	4,	sensacja	3,
gospodarczy	1,	gospodarczy	2,
rozrywkowy	1,	naukowy	18
humorystyczny	1,		

JAKI DZIAŁ ZUPEŁNIE NIE INTERESUJE MNIE?

SZKOŁA MĘSKA:		SZKOŁA ŻEŃSKA:	
sensacyjny	52%	handlowo-przemysłowy	40%
polityczny	23,	ogłoszenia i nekrologi	22,
naukowy	12,	sensacyjny	20,
gospodarczy	7,	polityczny	10,
kobiecey	2,	sportowy	5,
literacki	1,	literacko-naukowy	3,
literacko-artystyczny	1,		
nekrologi	1,		
komun. katy meteorolog.	1,		

Już choćby z ilości wyszczególnionych dzienników i czasopism wynika, że młodzież czyta prawie wszystkie, ukazujące się na bruku warszawskim, bez względu

DON JOSE ST. NOARRO.

24)

ZDOBYWCA AFRYKI

Jako następny świadek zjawiała się Sara.

Jej zeznania niewątpliwie mogły stanowić najbardziej sensacyjny punkt całego przewodu sądowego, to też widać było poruszenie nie tylko na ławach publiczności, ale wśród palestry i sędziów.

Marysia wlepiła w nią badawcze spojrzenie, chcąc jakby wyczytać z jej twarzy coś więcej poza gotowością do zeznania „sądowej prawdy“, coś, co rzucało światło na uczucia tej kobiety względem Stefana.

Z podstawy Sary biła determinacja.

Gdy na pytanie sędziego — czy pani nie jest związana pokrewieństwem ze stronami? Sara odpowiedziała: nie! Marysia pomyślała, ale są przecież węzły ważniejsze od węzłów krwi, więzy uczucia. Do czego może być zdolna kobieta, która kocha? Najbliższa chwila miała to wykazać.

— W mej opinii dr. Stefan Żarnicki padł ofiarą szeroko zakrojonej intrygi. Nie wszystko jest mi znane bezpośrednio, ale z różnych fragmentów mogę zestawiać następujący obraz. Jak wiadomo, pracuję w domu bankowym Goldsteina...

Nagle gdzieś z kąta sali sądowej wyplął cichy, ale dziwnie przenikliwy szept: — „Sara, ty się zastanów!“ Słowa te wypowiedziane po hebrajsku, nie zrozumiałe dla większości zebranych, miały w sobie dziwnie sugestywną, jadowitą moc... Sara jednak podniosła tylko wyżej głowę i z jakimś bolesnym grymasem na ustach mówiła dalej... Firma interesowała się akcją Towarzystwa Kolonizacyjnego i początkowo usiłowała wejść w porozumienie, lecz doktor kategorycznie odmówił wszelkiej współpracy. Wówczas podjęto różne kroki w celu utrudnienia rozwoju i działalności Tow. Kol. Mam poszlaki, że kontrmina na giełdzie została zorganizowana przy wybitnym współudziale domu Goldsteina, pozatem szeroko zakrojona akcja prasowa i wogóle propagandowa, wymierzona w interesy Tow. miała swe źródło w gabinecie banku Goldsteina.

— Pani nic nowego nam nie powiedziała — wtrącił adwokat dziennikarza Sarnickiego — te domysły i insynuacje słyszeliśmy już raz.

— Co pani wie o zamachu na doktora Żarnickiego? — pytał sędzia.

— Wiem. Wiem. To właśnie z mego telefonu dzwoniło do doktora, zapowiadając, że przyjedzie po auto z radja. Ja usiłowałam temu przeszkodzić...

— Dlaczego?

— Nie chciałam dopuścić do tej niegodziwości.

— Ale przedtem brała pani udział w akcji przeciw dr. Żarnickiemu i nie uważała pani jej za niegodziwość, skąd ta zmiana poglądów. — wtrącił adwokat obrony.

— Skąd, skąd? — powtórzyła Sara, bo dr. Żarnicki nie jest mi obojętny, bo kocham go...

— Ach tak. Pani jest w nim zakochana... A może pani zechce nam wyjaśnić, kto dzwonił wówczas do dr. Żarnickiego z pani mieszkania?

— Dzwonił pewien młody człowiek.

— Czy ten młody człowiek nie nazywa się przypadkiem Bronisław Pinkus i czy nie uchodzi za pani narzeczonego — adwokat podkreślił to słowo — a jeśli kto woli przyjaciel? Jak więc pani wytłumaczy, że

przyjmowała u siebie sam na sam młodego człowieka, a jednocześnie „kochała“ innego i że tym innym był właśnie dr. Żarnicki? Mojem zdaniem opowiada pani te niestworzone historie, aby się zemścić na swym byłym narzeczonym — ostatnie słowo znowu zostało podkreślone.

— Przypuśćmy, że p. Pinkusa możnaby nazwać moim byłym narzeczonym, to przecież stąd nie wynika, że nie mogłam tęsknić do innego mężczyzny. Panie mecenasie, czy nie zdarzyło się panu, jedząc zwykły czarny chleb, zatęsknić do ciastka z kremem? — Sara uśmiechnęła się ironicznie.

— Poczóż jednak ofiarowuje nam pani ten cały krem fantastyczno-romantycznej nadbudowy, fałszuje pani podniebienie sprawiedliwości taką kuchnią, przyrządzoną na marginesie kłamstwa.

— Dla mnie prawdą jest to, co czuje moje serce.

— A co ja odczuwam? — zapytywała się w duchu Marysia, poruszona do głębi wyznaniem tej kobiety. Czy Sara nie jest szczęśliwsza, przynajmniej ulega potężnemu uczuciu, które kieruje jej postępowaniem, a ona, Marysia, rzucona jest na pastwę wątpliwości między niechęcią do męża a pożądaniem lepszej doli przy boku hrabiego. Lecz w tem wszystkim niema ani odrobiny wielkiej namiętności, zdolnej nadać życiu nowy tok i nowy cel. O ileż była szczęśliwsza Sara, ze swą postawą ofiarnej kochanki, płacącej już zgóry rachunek kosztów miłości... spełnionej? czy jeszcze niespełnionej? — oto dylemat, który niespodzianie zaczął jątrzyć serce Marysi... Co mnie to ostatecznie obchodzić, przecież Stefan jest mi obojętny i przecież postanowiłam się z nim rozejść. A jednak, jakże to nieprzyjemnie dowiadywać się, że nawet porzucony łup znajduje namiętnego amatora. Łup? Czyż właściwie ona, Marysia, nie była łupem Stefana, który włókł ją za cieniem swego życia dla swej wygody? Czy jednak żadnych nie ponosił tego kosztów? Przypomniała sobie tę ohydłą kałużę insynuacji, w której spotwarzano dobre imię Stefana za to, że starał się przychylić jej nieco blasków życia. Przez chwilę wydało jej się bowiem, że cała ta Afryka była podarkiem dla niej. Nie dołęga, po co sili się na rzeczy sobie niedostępne. Co innego hrabia! Czy jednak nie jest większą zasługą zdobyć coś dla ukochanej z trudem, niż dawać z pełnej kieszeni? Czyż ofiary Stefana nie są dowodem prawdziwej miłości w porównaniu z łatwym gestem człowieka, który urodził się na worku złota? Z tego kołowrotu dręczących zagadek wyrwało Marysię orzeczenie sądu, który zarządził aresztowanie Sary, jako podejrzanej o współudział w przestępstwie.

— Co zrobi Stefan? — jak błyskawica, przemknęła myśl przez głowę Marysi. To samo pytanie zadawała sobie Sara, rozegzaltowana do ostatecznych granic swą bohaterką postawą.

Tymczasem zabrali głos adwokaci.

Adwokat dr. Żarnickiego przedewszystkiem w paru słowach scharakteryzował znaczenie procesu, wskazując na jego doniosłość, jako podstawy do oceny stosunków społecznych, gospodarczych i politycznych w Polsce. Proces ten ma znaczenie historyczne, odmalowuje bowiem zmaganie się dobrego patrioty z mafją

podziemnych wpływów, które chcą wprzęgnąć Polskę w jarzmo ciemnych, obcych interesów. Przewód sądowy zademonstrował nam całą niegodziwość kampanji przeciw pożytecznej instytucji, jaką jest Tow. Kol. i przeciw jejszlachetnemu szermierzowi. Parlament, a ściślej pewne jego sfery, prasa, radio, teatr, wszystko wprzęgnięto na usługi niegodziwej akcji, zmierzającej do zniszczenia pożytecznej placówki. Nie cofnięto się przed żadną podłością, ani potwarzą. Nawet ten przewód sądowy postarano się wyzyskać dla oszkalowania dr. Żarnickiego, że przypomnę zeznania oskarżonego Wyrobisza.

Przebiegli i niecni prześladowcy dr. Żarnickiego postanowili zniszczyć jego dobre imię, które jest niemniejszym kapitałem zakładowym dla całego przedsięwzięcia od funduszów materialnych, postanowili go zabić... tak, zabić moralnie, aby nie mógł dalej prowadzić swego dzieła. Uczyniono zeń warjata, człowieka, opawanego jakimś bzikim afrykańskim i taką fałszywą legendę zręcznie puszczono w świat; jej warjant zaprodukowali tu przed sądem oskarżony szofer i jeden ze świadków. Miara niegodziwości się przebrała tak, że nawet jeden ze współuczestników tego systematycznego zamachu na dr. Żarnickiego: p. Sara Levy wylała się ze zbrodniczej zmywy i dzięki temu uzyskaliśmy możliwość rzucenia trochę światła na tę ciemną i ohydłą aferę. Jednej rzeczy wypada tylko żałować, że na ławie oskarżonych nie ma głównych sprawców całej podłości. „Rękę karaj, nie ślepy miecz“, to też obecny wymiar sprawiedliwości niechaj się stanie ostrzeżeniem dla istotnych sprawców, że i na nich spadnie kiedyś kara. Wyrok obecny powinien więc mieć symboliczne zna-

Adwokat obrony z uśmiechem lodowatej ironji zaczął swój wywód:

— Jest to bardzo wygodne pokrwać patryjotyzmem różne nieudane interesy, a z kiepskich aferzystów — kreować bohaterów narodowych, zaś tych, którzy ich demaskują zozydzać jako paszkwilantów. Skoro mój przeciwnik upiera się przy tem, że obecny proces ma znaczenie symboliczne, muszę podjąć ten jego frazes. Owszem jest w całej tej aferze pewien symbol, obecna rozprawa jest symbolicznym bilansem grynderstwa społecznego, udrapanego podstępnie w płaszcz zasługi publicznej. Mamy tu do czynienia z próbą porachunku na płaszczyźnie pokrzywdzonego honoru między „obrażonym“ dr. Żarnickim a jego konkurentami handlowymi. Niezręczny działacz usiłuje pokryć swa przegraną. Mój przeciwnik mówił nam o bagnie. Tak zgoda. Jest tu bagno wytworzone przez samego dr. Żarnickiego. Wysoki sąd miał przykrą przyjemność wysłuchania oświadczeń miłosnych niejakej p. Sary Levy. Pytam się, czy może istnieć watpliwość co do stosunków łączących tę zaperzoną gloryfikatorkę dr. Żarnickiego z naszym bohaterem narodowym? Zaiste mamy tu nowe wydanie historii o Esterce i cnotliwym królu z tego chyba tytułu możnaby mówić o historycznym znaczeniu procesu. Mamy raczej dzisiaj mały przyczynek do tej pansksualnej psychozy, która opanowała świat i brózdzi nawet w życiu takich Katonów, jak nasz sławny afrykański doktor. Wnosze więc o uniewinnienie podsądnych, którzy działali w dobrej wierze, myśląc, że chodzi o unieszkodliwienie groźnego warjata.

XXV.

Kiedy do rąk Stefana doszło sprawozdanie z procesu, opanowała go na nowo fala zniechęcenia i przesylenia. Uczuł się znowu jak rozbitek, którego ostatnia

fala, wyrzucając na brzeg, zbiła z nóg i oszołomiła. Niewątpliwie proces wypadł na jego korzyść, chociaż sąd jeszcze nie ogłosił wyroku. W jego przebiegu było jednak cały szereg niemiłych, wprost bolesnych rzeczy. A przede wszystkim epizod z Sarą. W innych może okolicznościach to jej gorące wyznanie, rzucone publicznie, pochlebiłoby męskiej ambicji Stefana. Miło jest słyszcć, że ktoś nas kocha, choćby był nam obojętny, jednak wobec napiętego sporu ze swą żoną ta cała demonstracja stanowiła nowe utrudnienie. Usiłowała sobie wyobrazić, jakim sercem przyjęła te oświadczenia Marysia, zwłaszcza po złośliwej, a przecież jednak prawdopodobnej interpretacji adwokata oskarżonych.

Rozbity zupełnie dręczącymi wątpliwościami, poszedł na spacer przez pola ku pobliskiej wsi.

Czuł jakiś straszliwy ciężar, gniojący jego pierś.

Mam tego wszystkiego dosyć! To jest ponad ludzkie siły. Zresztą poco: nie rozstrzygnąłem nietylko żadnej trudności na drodze „mego dzieła“ — myślał z pobłażliwą ironją — ale nawet nie rozstrzygnąłem żadnej z podstawowych wątpliwości: dlaczego mam to dzieło podjąć i poprowadzić. Jakżeż sam bez wiary, mam innych prowadzić, zniechęcać, pobudzać! Jakżeż to ja, pełen pretensyj do roli nowego Mojżesza, mam wywieść lud do ziemi obiecanej, kiedy nie wiem, ani gdzie leży, ani jak do niej dotrzeć, kiedy poprostu nie wierzę w możliwość jej osiągnięcia! Dość tego, dość!... Zgubiłem nietylko plan drogi, zgubiłem spokój umysłu i serca, zgubiłem siebie, wracam uboższy po latach wysiłków, niż wyruszyłem w drogę, uwikłałem siebie i żonę w straszliwym trzęsawisku świata. Pycha mnie i ją przywiodła na skraj przepaści. Bo przecież to nie dla dobra społeczeństwa, ale dla swej korzyści zabrałem się do tej całej roboty. Za parawanem publicznej troski snulem sobie gniazdko własnej wygody, podbijałem ambicję mej żony, aż przyszedł potężniejszy ode mnie i podbił mnie w cenie. Zlicytowałem me ideały za suknię od Hersego. Zakpiłem sobie cynicznie z całego świata i niewart jestem splunięcia najpodlejszego z ludzi...

Dość tego, dość! Czas zrobić porachunek z głupstwem swego życia. W miarę tych niewesołych rozmyślań świat wydawał mu się coraz czarniejszy, choć prażyło piękne lipcowe słońce. Poprostu nie widział go.

Wszystko jest mi obojętne i jestem wszystkim obojętnym. Na nic takie życie. Kula w łeb i koniec. Szedł bezmyślnie przed siebie... A Sara? — przecież to jedna istota, która dla niego coś poświęciła — trzeba ją ratować. Dziś jeszcze napiszę list do sądu, wyjaśniający pewne szczegóły jego porwania i rolę w tem Sary. Lecz i inni są mu także życzliwi: ksiądz Kordjan, Ligęza, który przecież wprost z furją walczy w obronie jego honoru, a choćby ów robotnik z Czerniakowa, opanowany żądzą bananów...

Gnębiony tyłoma, tak sprzecznymi myślami, Stefan szedł przez pola.

Z zadumy wyrwał go nagle głos:

— Dokąd to tak doktor maszeruje?

Stefan, wyrwany z odurzenia, spojrzął bacznie przed siebie. Stał przed nim, uśmiechając się dobrotliwie, stary proboszcz, pamiętający jeszcze czasy powstania styczniowego.

— Coś mina nietęga? — ciągnął dalej jowialny starszek.

— A bo i sprawa nietęga! — odparł Stefan, usiłując przełamać uśmiechem swój ból.

— Czemu?

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

BIJĄ DZWONY.

Cicho. powoli, jak z oczu ludzkich nieprzeplakane lzy, płyną zwolna z niebieskich przestworów srebrne, puszyste, gęste płatki śniegu.

Jakby w zamięć wiosenną, kiedy wiatr niesie zawieruchę wonnych kwiatów wiśni i czeremchy, padają kruche, mokre, iskrzące pyłki śniegu i otulają ziemię w welnistą białą chustę... Tymczasem z niewidzialnych dróg zsuwa się noc i na świat schodzi błogosławiona, wyczekiwana przez człowieka — cisza.

A w tej ciszy — noworoczne biją dzwony!

Gdzieś po rozstajach śnieżnych, po zaspanych szlakach, po puszystej powodzi świata, płyną i rozplývają się ich stokrotnie echa. Jakby w śpiżu serce za tętniło mocarnym drgnieniem na tę wieść, — upragnioną czy też dziwną, — że ku ludziom idzie Rok Nowy.

Rok idzie Nowy, ale starą pieśń mu grają dzwony. Dźwięk ich potężny, gromowy. z wieżyc miliona, wspanuje węń nieprzedawnioną nigdy, wiecznie młodą trzcę. O niej mówi Księgą Ksiąg — ewangelja, której głoskę każdą należałoby rzeźbić z brylantów.

Było to przed wielu wiekami — mówi ta księga. Nad pola betleemskie w łunach gwiazdy cudownej, zawitał anioł. O północy zbudził pasterzy, stróżujących w półśnie przy stadach owiec i rzekł do nich:

— Zwiastuję wam wesele wielkie: Oto się wam dziś narodził Zbawiciel — Chrystus Pan — w mieście Dawidowem.

Przebrzmiał, ale nie zamarł głos anioła.

Zbudził falę radosną pośród gwiazdnych sfer, która jednym rzutem przelała się w niebios, ogarniając chóry duchów i popłynęła w dal wieków i ziem, zagarniając serca ludzkie...

Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów obnażony,
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
Ma granice Nieskończony...

W tej chwili — jej rytm i mnie dotyka, potęga o serce moje, duszę ogarnia... Z wysokości gdzieś spod kopuły niebios, wielką, wszechświatową chwałą Narodzonego noworoczne biją dzwony!

Rzklbyś, głos anioła z pól Betleemu, stokrotnem echem powtórzony, potężnie znów, a słodko się rozlega: „Wesele wielkie zwiastuję wam“. Niebu i ziemi, dolinom i gór, wioskom, miastom, krainom. Na wschód, czy na zachód, na południe, czy na północ idę — dla wieści radosnej nigdzie niemasz rubieży. Choćby legje zbrojne stanęły na jej drodze, choćby jej przepaści kopano pod stopami, ona w legjach serca

stalowe na ludzkie zamieni, przepłynie oceany, przekroczy wirchy lodowe Alp, Himalajów, Kordyljerów, pokruszy chińskie mury, roztrąci czerepy bożyszcz, pogruchoce bałwany pogan...

Wesele tak wielkie zwiastując nam, z kościelnych wieżyc biją dzwony.

Z falą radosną ich dźwięków płynie myśl, okrąży, obejmuje świat cały.

I powstają przed oczyma duszy, idące w nieskończoną dal, jakby rozszerzone, ubogie pola Betleemu. Ziemie, morza, oceany... Srebrne śniegi tatrzańskie i złote piaski Egiptu. Znaczone wąskimi punkcikami na mapach grzańskie tundry i przemiatane suchymi wiatrami drogi Sahary... Tu i tam na tych przestrzeżeniach okiem nieobjętych wyrastają domy, skupienia domostw... To wioski i miasta wszystkich krain, wszystkich narodów... Ale wszystko to — jedno betleemskie pole świata, rozesełane na obszarach pięciu lądów wokół żłobka Zbawiciela.

Pod licho skleconemi szałasami — pałaców, czy chat — w mrokach nocy doczesnej, wszędy obozują pasterze... Ludzie i ludy. Każdy ma swoje owce, swoje mleko i runo, którego strzeże zazdrośnie i czujnie, upadając z utrudzenia...

A nad nimi gwiazdy chodzą, siejąc złote blaski niebios. I z wieścią zbawczą, radosną, rok w rok potężniej, widomiej, rozgłośniej, przepływają aniołowie. I w dal noworoczną gromowym głosem biją dzwony:

„Zwiastuję wam wesele wielkie! — Bóg się rodzi!“

Już Europa, Ameryka i Azja, Afryka i Oceanja pełne są dźwięków tej anielskiej nowiny... Jak serca betleemskich pasterzy, wciąż otwierają się na jej przyjęcie serca koczowników na łanach doczesności. Liczba ich za dni naszych przekracza czterysta milionów. Niebawem będzie pół milarda, miliard...

Toteż w dal noworoczną biją dzwony... Wołają, nawołują, aby do żłobka Zbawiciela pośpieszyli niezwłocznie wszyscy!

Czegoż się bowiem wahać, zwlekać i obawiać, lub uchodzić precz od żłobka?

Któż się uleknie prześlicznej, młodzieuchnej Matki i Panny? Kogo przerazi widok maleńkiej Dzieciny, która wyciąga do niego rączeta stęsknione?

I ja się przeto odważę! Pójdę do Betleemu, gdzie oczekuje na mnie wesele wielkie... Bóg mój i Pan — Zbawiciel duszy mojej...

Potężnem tętnem serc, w rozsrebrzoną dal — noworoczne biją dzwony!

Jan Czar

— Wątpię w jej dobre wyniki.

— Nie wolno wątpić. Trzeba wierzyć. Wy młodzi nie umiecie już wierzyć. Chccie osiągać dziś wskyt ko za jednym zamachem, zapomnienie, że dziejowe fakty tworzy się powolnym i wyteżonym, ofiarnym wysiłkiem. Myśmy po roku 63 nie zwątpili, lecz na owoce tej naszej wiary przyszło czekać blisko pół wieku.

— Nie starczy na to życia ludzkiego.

— Ale starczy życia narodu.

— Twarda jest ta mowa — rzekł Stefan z jakimś tragicznym półśmichem.

— Bo życie jest twarde i zwyciężają w niem ci, co są twardzi dla siebie a mięccy dla bliźnich. Zaufaj pan

Bogu, doktorze, a wszystkie przeciwności okażą się nie tak znów wielkie...

Ta rozmowa jednak pocieszyła Stefana, w lepszym już duchu wracał do domu. Nagle wydawało mu się, że w słonecznym blasku zarysowuje się sylwetka Marysieńki. Czyto prawda? Na Boga, to ona! Mimo-woli przyśpieszył kroku. Stanęli przed sobą twarzą w twarz. Pierwsza odezwała się Marysia:

— Chodź, pójdźmy razem! — wsunęła mu rękę pod ramię, ciepło, przytulnie, ufnie.

I poszli razem skąpani w blasku słońca, milczący, prawie szczęśliwi...

KONIEC.

Z T E A T R U

Teatr Polski: „Dziady” — poemat Adama Mickiewicza.

Na dwóch czołowych scenach stołecznych rozgościł się — „wielki repertuar”. W Narodowym grana jest obecnie „Intryga i miłość” Fryderyka Schillera, w Polskim wystawiono — „Dziady” Mickiewicza w inscenizacji i reżyserji L. Schillera i w dekoracjach Andrzeja Pronaszki.

O „Dziadach” istnieje obszerna literatura krytyczna. Są one przedmiotem coraz to głębszych badań. Na tem miejscu wystarczy powiedzieć, że „Dziady” są dziełem niejednorodnym i że, według określenia dr. Konrada Górskiego, są „podobne do ogromnego, ale niewykończonego gmachu, którego plan przepadł wraz ze śmiercią głównego architekta”. Mamy więc do czynienia z fragmentami „poematu”, luźnie z sobą połączonemi.

„Dziady” są udramatyzowaną liryką, miejscami o bardzo wysokiem napięciu. Są dziejami Gustawa-Konrada, polskiego „Prometeusza źle spętanego” — tym zaś Gusawem-Konradem jest sam twórca dzieła — Adam Mickiewicz.

Miłość do Maryli uduchowiona i przeegzaltowana, „miłość romantyczna” — przeistacza się w jego sercu w ogromną miłość narodu (*Obiit Gustavus — natus est Conradus*). Poeta czuje i cierpi za miliony, pragnie zdobyć „rząd dusz”, by odrodzić i uszczęśliwić swą Ojczyznę. Podnosi bunt przeciw Bogu — bunt upadłego anioła, lecz zawieszony niejako nad przepaścią — dźwiga się duchowo. Prometeusz pogański — staje się Prometeuszem chrześcijańskim...

Do najwznioślejszych kart poezji naszej należy słynne „widzenie ks. Piotra” w III części „Dziadów”. Jest to wogóle unikat w poezji światowej. Kryje on w sobie zagadkę, kim jest ów przyszły wódz narodu, którego imię brzmi „czterdzieści cztery”. Różnie to usiłowano tłumaczyć. Mickiewicz nie mógł, czy też nie chciał wyjaśnić światu tych tajemniczych słów. Zdaje się wszakże, iż najbliższym prawdy jest domysł, że autor miał na myśli samego siebie.

Częściowo „Dziady” są dramatyczną historją prześladowań młodzieży polskiej przez Nowosilcowa. Zapewne późniejsze klęski narodowe ponurym ogromem swym przesłoniły ten dramatyczny epizod przedpowstańowy. Ale i dziś, wsłuchując się w żale, skargi i przekleństwa, płynące do nas z tych czasów — nie czujemy się obco w tym świecie. Żyją jest tradycja i żywe odczucie.

Teatr Polski — wyznać to trzeba — wystawił „Dziady” z należnym temu dziełu wielkiego wieszca pietyzmem.

Zmobilizował najwybitniejsze siły zespołu aktorskiego, reżyserskiego i malarzkiego.

Ale jaki był wynik tych najlepszych zamiarów?

Pp. L. Schiller i A. Pronaszko, zawsze skłonni do nowatorstwa, pragnęli zadziwić Warszawę nowem „podejściem” do „Dziadów”. Chcieli pokazać „Dziady” takimi, jakimi je widzieć powinien — ich zdaniem — człowiek dzisiejszy. Więc dano mieszaninę symbolistyki, prymitywizmu, patosu i sztuczności. Być może wielu będzie tem zachwyconych, ale sędzę, że większość wolałaby widzieć więcej szczeroci i naturalności.

Lubujący się w skrótach i symbolach p. Schiller jednocześnie „odszyfrował” postać Pasterki, ukazując ją jako Marylę. Ależ o tem wszyscy i tak wiedzą, zaś to co uczynił p. Schiller dowodzi, że nie rozumie on ducha romantyzmu. Sprawiedliwość jednakże wymaga stwierdzić, że niektóre fragmenty inscenizacji i gry aktorów — stanowią zaszczyt dla Teatru Polskiego. Chóry brzmiały pięknie, dobrze też były dobrane ilustracje muzyczne, oparte na motywach Porgolescego, Haydna, Mozarta, Beethovena, Webera, Chopina, oraz ludowych. Świetnym jest pomysł zakończenia scen „salonu warszawskiego 1823 r.”, dyskretnem odezwaniam się za kulisami melodji „Warszawianki”. Brzmi to jak sąd bliskiej przyszłości nad miłośnikami spokojnego życia i nienarażania się nikomu wówczas, gdy wisi już w powietrzu nieunikniona burza...

Tłem dekoracyjnym dla wszystkich obrazów „Dziadów” jest wspaniały widok wileńskiej góry Trzykrzyskiej z krzyżami. Krzyże te dominują i nad obchodem dziadów w cerkiewce, i nad całą Konrada i nawet nad salonem warszawskim, co już jest mniej zrozumiałe.

Z temi trzema krzyżami, symbolizującymi Wilno i cierpienia narodu, jako dekoracyjnym *novum* pogodzić się można. Ale gorzej z prymitywami dekoracyj. markującymi w skrótach i cmentarz i cerkiew, i całą Konrada, i salony warszawskie i wileńskie. Trudno czasem na pierwszy rzut oka odgadnąć co one wyobrażają. Tu ultra nowoczesność kłóci się ustawicznie z duchem poematu, włożonym przemocą w ramy całkiem mu obce. Zresztą czy prymitywizm ten, o wschodniem zacięciu. — był przynajmniej z punktu widzenia p. Schillera celowy? Bynajmniej. Niesamowicie wyglądała naprz. scena w mieszkaniu księdza, wyglądającym jak wielka stodoła. Jeżeli chodziło o przestrzeń, to było jej za wiele. Nadużywanie skrótów dekoracyjnych ma tę właściwość, że zmusza widza

do nadrabiania wyobraźnią, braków widowiska, w dłuższym więc utworze jak np. — w „Dziadach”, wywoływać to musi znużenie

Cała obfitująca w efekty inscenizacja wywoływania duchów wywarła niewątpliwie dużo wrażenia, niestety „bal u Senatora” był jakimś dziwnem połączeniem dramatu i operetki. W „salonie warszawskim” grupa literatów wogóle sponsonowana przez poetę, wyglądała — nieco po kabotyńsku.

Józef Węgrzyn, jako Gustaw — Konrad dał kreację przemyślaną, miał momenty wspaniałe, jednak kreacje te w ogólnej linii — tchnęły chłodem. Więcej ciepła miał w swej grze — p. Edmund Wierciński w roli księdza Piotra, ale w scenie pod krzyżem (widzenie) winien był zdobyć się na silniejsze akcenty.

Stanisława Wysocka — odtworzyła tragiczną postać Rollisonowej, matki dręczonego przez siepaczy Nowosilcowa więźnia, z wielkim realizmem i siłą.

Bogusław Samborski nie był wymarzoną Nowosilcowem, traktował, bowiem, rolę swą zanadto groteskowo.

P. Buszyński — dał bardzo malowniczą i żywą kreację Guślarza, jedną z najtrudniejszych ról w „Dziadach”.

Wogóle gra artystek i artystów świadczyła o dużej i sumiennej pracy i talentach, tej świetnej sceny polskiej.

A jak przyjęła Warszawa wystawienie „Dziadów”...!

Nazajutrz po premierze wszystkie łóżka były puste, w parterze znalazło się kilkadziesiąt osób, ludniej zaś było na balkonach i galerji, gdzie skupiła się przeważnie młodzież i wojskowi niższych rang... Wymowne!

Nie jestto stosunek negatywny do inscenizacji „Dziadów” — (recenzje w dziennikach jeszcze się nie ukazały), lecz do samego utworu, który nie zainteresował tę warstwę społeczeństwa warszawskiego, którą stać na bywanie w teatrze. Mówi się o nędzy powszechnej, ale nie przesadzajmy, dla siedzących na taniach miejscach trudniej wydać dwa lub trzy złote, niżli kilka lub kilkunastu tych, którzy siadają w parterze.

Kiedyś stawienie się w teatrze na sztuki „wielkiego repertuaru”, zwłaszcza utwory naszych wieszczów, uważano za obowiązek przyzwoitości publicznej ze strony ludzi, należących do towarzystwa. Dziś to elita, tak lub inaczej dobrze uposażona, teatrem, zwłaszcza poważnym, nie interesuje się wcale.

Kwitną natomiast dancingi i „seanse bridżowe”. Jakie czasy taka i kultura, czy też taka i kultura, jakimi są czasy..

L. Rad.



NA FALACH CZASU

Możnaby powiedzieć, że wstające o tej porze roku w duszach ludzkich tysiącletnie echa anielskiego „Gloria, Gloria“ tak pełnego radości, oraz zapowiedź tyle wnosząca ukojenia „a na ziemi pokój ludziom dobrej woli“, wpłynęły uspakajająco na wzburzone fale międzynarodowej polityki. Wspólnym wysiłkiem dyplomacji łagodzą się konflikty i zacierają ślady krwi która tak niedawno rozporaz płamila karty historii. Ba, nawet w jednym z państw europejskich rozebrzmiało triumfalne Veni Creator. Oto Anglja święciła niedawno z niebywałym przepychem i wśród powszechnego entuzjazmu ludu zaślubiny jednego z trzech synów królewskich ks. Kentu z księżniczką grecką Maryną. Przy okazji w całej pełni ujawniło się ogromne przywiązanie całego narodu, od prawicowca do socjalisty, do dynastji. Miljon ludzi, płacący ogromne nieraz sumy za miejsca skąd możnaby ujrzeć młodą parę, to chyba dość wymowne. Anglja miała więc dzień wielkiej radości. A młodzi małżonkowie ulubieńcy fortuny wśród różnych podarków i niespodzianek spotkali się także z cichą propozycją na objęcie tronu w Grecji. Ano, jak widać, przysłowie, że Grecja za wszystko zapłaci, ma się na swój sposób sprawdzić. Ten ślub wniósł dużo świeżego powietrza nie tylko do wewnętrznego życia Anglji. Optymizm, jaki się odezwał w angielskim społeczeństwie, był niewątpliwie jedną z pobudek dla których Anglja postanowiła wpłynąć łagodząco na wystąpienie Jugosławji w sprawie mordu na królu Aleksandrze.

Od nastrojów hymnicznych — weselnych trzeba przejść do rzeczy nieco ponurych i bardziej serjo. Jedną z tych rzeczy jest kwestja plebiscytu w Saarze.

Hitlerowcy z wielkim nakładem wysiłku przygotowują się obecnie do ważnej rozgrywki. Na niebo, obejmujące ten kraj i zasnuce wciąż chmurami dymów fabrycznych, zaczynają się wdzierać ciężkie, ołowiane obłoki niebezpiecznej agitacji i propagandy hitlerowskiej pod hasłem powrotu do ojczyzny; policja w Zagłębiu Saary jest już zupełnie zhitleryzowana, Liga Narodów postanowiła więc sprowadzić na czas plebiscytu policję uformowaną z obywateli zagranicznych. Francja przygotowała do interwencji pograniczne dywizje. Niemcy zapowiedzieli, że wszelką interwencję wojskową będą uważać za pogwałcenie zasady swobody plebiscytu — od decydującego dnia 13 stycznia 1935 r. dzielą nas niecałe dwa tygodnie. — Nietylko jednak na tem kończy się akcja hitlerowska. Zmobilizowali oni kadry partyjnych agitatorów, których się tu nawet potajemnie przewozi.

Agitatorzy ci perswazją, a jak trzeba, groźbą wpływają na ludność. Używa się najrozmaitszych środków, obliczonych już to na efekt psychologiczny; już to mających wywrzeć nacisk moralny. Rozmaite organizacje w Zagłębiu Saary rozwijają ostatnio coraz żywszą działalność w tym kierunku. Ostatnio wydana została nowa odznaka pod nazwą „odznaka plebiscytowa“. Przedstawia ona małą plakię, zawierającą kawałek prawdziwego węgla. Dochód ze sprzedaży przeznaczony jest na akcję „pomocy zimowej“. Wobec tego, że odznaka ta nie zawiera żadnych znamion partyjnych, została ona dopuszczona do sprzedaży przez komisję rządzącą. Poza tem organizacja „niemieckiego frontu“ wydała naklejkę do pieczętowania listów. Wyobraża ona kolisto ułożony łańcuch, przerwany w jednym miejscu snopem promieni z napisem „13 stycznia“. Na naklejkę podany jest rok 1935 oraz hasło „Saara jest niemiecka“ — chcemy powrócić do Rzeszy“. Komisja rządząca zezwoliła ponadto na noszenie t. zw. „plakiety Lutra“. W związku z ukazaniem się „odznaki plebiscytowej“, „niemiecki front“ ogłosił oświadczenie, że nie ma nic wspólnego z propagowaniem tej plakiety i że nie będzie pomagał w jej rozpowszechnianiu. Napewno zato ma on coś wspólnego z puszczaniem w obieg po Saarze wersjami w tym rodzaju, że jeśli kraj ten nie wróci do Rzeszy, to grozi mu upadek ekonomiczny. Robotnicy stracą pracę i pójdą na żbry. Magnaci węglowi w Saarze, trzeba przyznać, zrobili wszystko, by jednostronnie związać swe interesy. Obok tych momentów, nie zabrakło także argumentu siły w postaci mobilizacji oddziałów szturmowych. Rzecz wypadła tak jaskrawo, że Niemcy musiały się z tego tłumaczyć.

Po różnych próbach stworzenia nowej organizacji stosunków międzynarodowych, obserwujemy obecnie nawrót do Instytucji genewskiej. Wszyscy zdają sobie dobrze sprawę, że nie jest ona doskonała, ma liczne braki i wady. Ale cóż w końcu na świecie jest doskonalszego i czem możnaby tak łatwo zastąpić Ligę Narodów. Jednym z braków jest, że L. Narodów nie ma żadnego organu egzekutywnomilitarnego. Dopiero teraz postarano się stworzyć pewnego rodzaju namiastkę w postaci oddziałów policji międzynarodowej, które desygnowane zostały na teren plebiscytowy w Saarze. Coprawda niebardzo tam się popisał jakiś anglik z tej „policji“, no ale jest ona pierwszym krokiem w tej dziedzinie. Dalszy sukces Ligi to zawarcie z jej inicjatywy i to w Rzymie, gdzie był przecież stały środek sprzeciwów przeciw auto-

rytetowi Genewy, układu rekompensacyjnego w sprawie kopalń w Saarze. Układ ten przesądził poniekąd wyniki plebiscytu, no i stwierdził że jednak Francja odeszła od polityki Barthou, który nie uznawał żadnych możliwości współpracy i porozumienia z Niemcami. Laval nie jest tak kategoryczny. Uważa on za pożądane dla Francji porozumienie z Polską, a o pakcie wschodnim mówi także trochę inaczej niż to robił „poeta dyplomacji“, Louis Barthou. Dalszym przejawem tej zmiany są głosy komentujące stanowisko polskie wobec paktu. Paul-Boncour jest zdania, że udział Polski i Niemiec w pakcie jest zbyt ważny, aby go lekceważyć, lecz sam pakt jest jeszcze ważniejszy i dlatego polityk ten usilnie nalega, aby nie zwlekano dłużej z jego zawarciem, ponieważ tylko pakt wschodni, oparty na klauzuli wzajemnej pomocy, może zabezpieczyć trwałą pokój na kontynencie.

Jeszcze ślślejszym egzaminem z użyteczności Ligi Narodów było poruszenie skargi Jugosławji przeciw Węgrom z powodu zabójstwa króla Aleksandra. Ostry atak Jugosławji został znacznie złagodzony już przez to, że Liga stanowiła tło dla jego przeprowadzenia. Zaczęło się to od przerwania wywołania zbyt bezwzględnych oskarżeń pod adresem Węgier, mówiących o ich odpowiedzialności za zamach. Jugosławja musiała złagodzić ton, musiały go też złagodzić Węgry, które przy okazji wystąpiły ze swemi postulatami rewizjonistycznymi i silnie uderzyły w Czechosłowację, z którą, jak wiadomo, mają najdrażliwsze porachunki graniczne. Co do rewizjonizmu znalazły dyskretnie i może przez to trochę mdle poparcie ze strony hr. Aloisi, przemawiającego w imieniu Włoch. Na froncie antyczeskim nastąpił znów sukurs Polski. Delegat Polski w bardzo zresztą ogólny sposób przypomniał sprawę zamordowania min. Pierackiego i akcji dyplomatycznej, jaką w związku z tem Polska przeprowadziła wobec Czech. Minister Benesz miał więc gorący dzień, musząc się bronić, miast atakować. W rezultacie cała kwestja jugosłowiańsko-węgierska przyczyniła się nieco do postawienia na twardszym gruncie sprawy zwalczania teroru międzynarodowego, co niewątpliwie będzie mieć poważne znaczenie dla utrzymania pokoju w Europie i walki z niebezpieczeństwem wojny. Czy istnieje ono? Oto ciekawa wskazówka. Tow. ubezpieczeń w Anglji zaczęły przyjmować ubezpieczenia na wypadek wybuchu wojny, obliczając go w stosunku lat 25 do 1 jeśli chodzi o wojnę Anglji z Niemcami, 19 do 1 — Francji z Niemcami.

Z PIŚMIENNICTWA

Straszna czasem bywa ironja losu. I czasem śmierć przedwczesna bywa dobrodziejstwem. W r. 1866 Apollon Korzeniowski pisał w liście z zesłania: „Gdybym mógł własną ręką postawić Konrada na ziemi i pośród zacych, niewielebym więcej pragnął“. „To żywe ciało i budząca się duszę spoić z ciałem naszego społeczeństwa“¹⁾ było marzeniem ojca, kiedy Konrad miał lat dziewięć. Nie ojciec go wychowywał, sierotą opiekowali się inni i tak się oto wszystko dziwnie pokierowało, że Konrad wyrósł na Conrada — na Josepha Conrada, który po latach włóczęg po morzach dalekich stał się chlubą literatury angielskiej. Nie dopłynął „morskami ku Polsce“ jak inni. Wszedł w społeczeństwo angielskie i choć przed śmiercią nosił się z myślą powrotu do ojczyzny dzieciństwa, na angielskiej leży ziemi. Życie jego jest niemniej ciekawe od jego dzieła literackiego, toteż nie przestaje interesować badaczy — zwłaszcza związku z dziesiątą rocznicą śmierci, poza okolicznościowymi artykułami upamiętniającą paru odczytami i wieczorami.

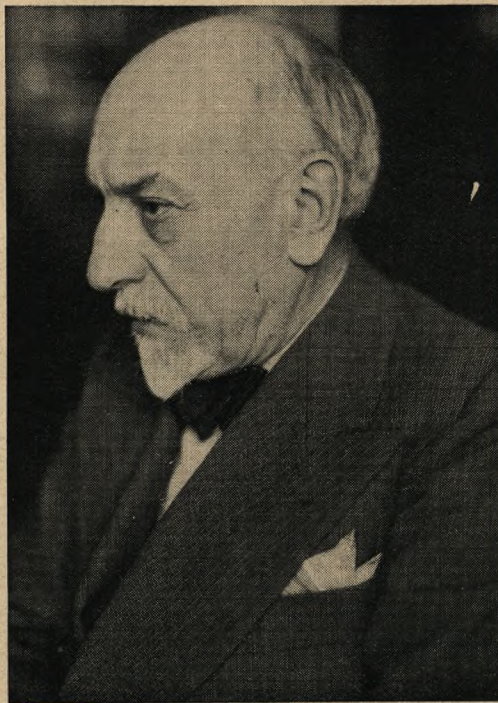
Apollon Korzeniowski — „znępany, posępny, zgryźliwy pono“²⁾ był patryotą, ale kto wie, czy nie przez niego właśnie rozbudziły się inklinacje angielskie w Konradzie. Przecież to on tłumaczył „Komedję obłędów“ Szekspira i „Ciężkie czasy“ Dickensa. Syn znalazł w Anglii „gościnnie kraj“, kiedy zwątpił w przyszłość Polski. 13 października 1885 r. donosi z Singapore: „Wobec takiego nieszczęścia narodowego szczęście osobiste jest niemożliwe w swej absolutnej formie ogólnego zadowolenia i spokoju serca“, bo „teraz brama zamknięta dla światła nadziei i nic dla nas nie pozostaje jak ciemności zapomnienia“³⁾. Dla takiego człowieka odrodzenie Polski musiało być zdarzeniem przytłaczającym, tembardziej że był to człowiek o wielkiej wrażliwości etycznej, nie cierpiąc tyków bez zasad, takich jak jeden z jego bohaterów — Donkin, „który nie wierzy w niebo ni piekło, wyjąwszy gdy potrzebował materiału do bluźnierstw“⁴⁾.

Trwałym śladem dziesięciolecia będzie książka o Conradzie prof. dr. Józefa Ujejskiego, który w roku ubiegłym jeden z wykładów na Uniwersytecie Warszawskim poświęcił właśnie temu pisarzo- wi, oraz częściowo już w pismach ogłoszane „Wspomnienia o Conradzie“ Józefa Rettingera.

Poza Conradem żywe zainteresowanie budzi w tej chwili Norwid. Niedługo ukażą się dwie książki o nim, jedna Stanisława Cywińskiego, druga Władysława Arcimo-

wicza; ukazał się zaś „Norwid“ Zygmunta Wasilewskiego, znanego ze swych publicystycznych raczej, niż naukowych studiów o Goszczyńskim, Kasprowiczu i t. p. „Wogóle nie chcę tać — przyznaje się Wasilewski w przedmowie — nie trudziłbym się Norwidem, gdyby mi nie robiło przyjemności artystycznej odbudowywanie człowieka z jego zwalisk“⁵⁾. A więc znów zainteresowanie człowiekiem. Warto podkreślić ten młodzieńczy stosunek do przechodzącego swój renesans poety — renesans wywołany dzisiejszym zwrotem ku intelektualizmowi w poezji.

Żeby skończyć z pisarzami zmarłymi, wspomnieć wypada wydanie zbioru bajek p. t. „Stół i nożyce...“ tak ujmującego poety i feljetonisty, jakim był Juljan Ejsmond (przedmowa również prof. Ujejs-



Luigi Pirandello,
laureat tegorocznej nagrody Nobla.

skiego); pozatem nareszcie „Pod znakiem Polskiej Akademii Literatury“ ukaże się zbiorowe wydanie pism Bolesława Prusa, na które rozpisanu subskrypcję. Zawrze ono w dwudziestu sześciu tomach pod redakcją prof. Ignacego Chrzanowskiego i prof. Zygmunta Szwejkowskiego dzieła „niewypaczone przez cenzurę i korektę“, „utwory znalezione w rękopisie“, „wznówione zbiory nowel“. Tak to przemówi nareszcie pełnym głosem pisarz, który chciał przewodzić narodowi, choć sam był pełny wątpliwości, gdyż dożył bankructwa ideałów młodości, tak że przed śmiercią nie wahał się mówić: „Może ja się wciąż myliłem... Niech robią rewolucję... Niech się świat wali...“⁶⁾ A jednak to naprawdę był

„Serce serc“, jak głosi nagrobek z powązkowskiego cmentarza. Tylko zdarzenia szły takie, że się wobec nich stawało bezradnie, gdy wiek przytłaczał.

Stanisław Piasecki załamuje ręce, że obecnie „przyszły na literaturę polską lata chude“, że „twórczość literacka ostatnich paru lat nie przedstawia się tego“⁷⁾, no ale przecież trudno żądać w każdym roku arcydzieła. Zatem wprowadzić nie jest, lecz z przyjemnością zanotować można podniesienie się przeciętnego poziomu różnych pisarzy dalszych kategorii. Należy być przy nadziei, że książki nieprzemijające ukażą się niedługo: Jan Lechoń szuka nowego tom wierszy bardzo w jego stylu zatytułowany, mianowicie „Lutnia po Bekwarku“; Jan Parandowski, którego za wykwinny w stylu „Dysk olimpijski“ nie powinna ominąć państwowa nagroda literacka, pracuje nad powieścią o przeżyciach religijnych młodego człowieka.

Sensacją będzie oczywiście nowy Lechoń. Wymyślano mu już oddawna od leniów, jakby poeta miał obowiązek cykać co rok tom wierszy. Jeszcze w r. 1922 na łamach „Kurjera Porannego“ odpowiadał Nowaczyńskiemu: „Ze oddawna nie pisuję, sam boleję nad tem szczerze. Chociaż gust ten mam: nie mazać byle czego na papierze. I dotychczas, muszę przyznać, dziwną dla mnie jest zagadką. Jak to można pisać często, ale dobrze pisać rzadko“. Skutek tej oszczędności był taki, że każdy wiersz Lechonia czytało się od wielkiego święta, a kunsztowne i po jubilersku wykończone strofy silnie wrażały się w pamięć. „Lutnia po Bekwarku“ będzie powtórzeniem tych lektur najmilszych; będzie pozatem pogłębieniem znajomości z poetą, który „Rzeczpospolitą Babińską“, „Karmazynowym poematem“, „Srebrnym i czarnym“ podbił publiczność, żeby ją wreszcie porzucił dla dyplomacji w Paryżu, „kiedy w górze się rozrasta Blask niby zorzy borealnej, A wszystkie światła tego miasta, pod łuk spływają triumfalny“.

W połowie grudnia prasę światową obiegły fotografie, przedstawiające chwilę wręczania nagrody Nobla dramaturgowi i powieściopisarzowi włoskiemu — Luigi Pirandelliemu. Decyzja sądu konkursowego była niespodzianką. Takich niespodzianek na gruncie polskim czeka nas więcej, bo właśnie nadchodzi okres rozdziału nagród państwowych i miejskich. Narazie trudno stawiać „napewniaka“ na jakichś ściśle określonych pisarzy. Jeśli dobrze pójdzie, sądy konkursowe gotowe są przysparzać „póllaureatów“, jak to było przed rokiem w Krakowie i w Wilnie. Tak prawdę mówiąc, wybór będzie trudny właśnie ze względu na równy poziom kandydatów.

J. M. Chudek.

7) Dwie prawdy. ABC literacko-artystyczne. Nr. 51/1934. Str. 1.

8) Z wiersza „Do malarza“, dołączonego w autografie do teki rysunków Stanisława Kramsztyka.

1) (Stefan Buszczyński): Mało znany poeta, stanowisko jego przed ostatniem powstaniem, wygnanie i śmierć. Ustęp z dziełków spóczesnych południowej Polski. Kraków 1870. Str. 44.

2) Adolf Nowaczyński: Pamflety. Warszawa 1930. Str. 123.

3) W. Cichowicz: Nieznane dwa listy Conrada. Tęcza Nr. 18/1929. Str. 6.

4) Murzyn z załogi Narcyza. Opowiadanie o kasztelu. Przełożył Jan Lemański. Warszawa 1928. Str. 183.

5) Jak Wasilewski przystąpił do Norwida. Kurjer Poznański Nr. 555/1934. Str. 8.

6) Anna Leo: Wczoraj. Gawęda z niedawnej przeszłości. Warszawa 1929.

Dział Kobiety

DLA DUSZY.

Jam jest, który w mgnieniu oka tak wznoszę pokorny umysł, że w jednej chwili więcej pozna wiekustej prawdy, aniżeli kto drugi po dziesięciu latach szkolnej nauki i mozołów.

Ja nauczam bez szumu wyrazów, bez zamętu zdań, bez chępliwości, bez sporu rozumowań.

Ja jestem, który nauczam pogardzać rzeczy ziem-

skie, niedbać o doczesne, a szukać wiecznych i w nich smakować; unikać zaszczytów, nie gorszyć się zgorzeniem, we mnie pokładać nadzieję, okrom mnie nie żądać niczego i kochać mnie gorąco nad wszystkie rzeczy.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

NOWY ROK!

Dopóki wierzymy nie tracimy nadziei i kochamy, dopóty żaden kryzys materialny nas nie zmoże, bo moralne wartości będą nam zawsze ratunkiem.

Niechże ten Nowy Rok, w którym czeka nas znów zrzeczenie się niejednego dobra, dzielenie ostatniego grosza z tym, który niema nic do podziału, przyniesie nam jednak tę pewność, że nie opuści Bóg nikogo, kto o Nim pamięta. A przy hartownej woli, pozwoli nam służyć Panu w radości.

R E D A K C J A.

KTO TYLKO UMIE CZYTAĆ NIECH IDZIE NA WALKĘ Z ANALFABETYZMEM

Jeszcze w roku 1929, „Rodzina Polska“ ogłaszała na swych szpaltach wezwanie do Czytelników, a zwłaszcza Czytelniczek, z nagłą prośbą — o nauczanie analfabetów.

Wołanie nie przeszło bez echa. Redakcja „Rodziny Polskiej“, dała przykład w tej pracy.

I, oto — zjawia się dobry duch, bo zawsze w takiej chwili jakaś szlachetna dusza się odezwie, ofiarując swój współdział w pracy, i na Czerniakowskiej u pani Grądzielowej, zbiera się koło kobiet, z których każda ma posługę w środku miasta, to na Złotej, to Chmiełnej czy Marszałkowskiej, a po pracy tu się stawia, aby przy dużym stole rozłożyć książki i kajety i słuchać co i jak mówi szanowna i przeznacna a gorliwa w spełnieniu obowiązku p. Halina Klarnerówna.

Kobiety mają od 30 do 50 lat. Nie wstydzą się, że czytać ani pisać nieumieją. Natomiast z najwyższym zadowoleniem przystępują do nowej pracy.

A po kilku miesiącach, kiedy zaproszona, zjawiam się w ładnie utrzymanym mieszkaniu p. Grądzielowej, pijąc mleko od dobrze utrzymanej krowy, słucham zwierzeń uczennic. Mówią mi: „Świat nam się teraz inaczej wydaje. Jeszcze nie umiemy wszystkiego jak należy, ale już, co spojrzysz na drukowane to wiesz co to znaczy. I numer na domu i na sklepie szyldy. A przecież już i książka do nabożeństwa grubym drukiem — nasza Kiedy spojrzysz na te literki przy Mszy Świętej, to aż coś w sercu zadrga, a oczy na chwilę lży zasłoną, że czytasz, czytasz sama, czego dotąd nie bywało.

A wszystko cierpliwość naszej pani. Już Pan Bóg tak dał, że tą cierpliwością tyle nas nauczyła.“

A po skończonym kursie, kiedy z ks. Superjorem W. Turowskim, uproszonym, byliśmy na tej uroczystości, to, istotnie ze zdumieniem oglądałam porządnie

zapisane kajety. Czysto prowadzone rachunki i słuchałam płynnego czytania, kobiet, które nieposiadają się z radości, że mogą się przed nami tem popisać.

Coprawda, zaimponowała mi najbardziej tabliczka mnożenia, której nigdy w całości zdobyć nie mogłam. A one tak sobie, jak gdyby nigdy nic — odpowiadały dobrze na 7×7 czy 8×9. Nadzwyczajnie!

Potem posypały się listy dziękczynne. „Szanowna pani! Donoszę W. Pani, że w dziesięć miesięcy nauczyła się czytać, pisać i rachować. Umiem dodać, odjąć, pomnożyć i podzielić. A tego nauczyła mnie p. Halina Klarnerówna. którą my bardzo kochamy za to wszystko.

Z uszanowaniem Marjanna Grądziel.

To jeden — takich było dużo. Prowincja też nadysła wiadomości pomyślnie w tym zakresie. Potem ta sprawa ścichła.

Dziś zasłużone, poważne Stowarzyszenie Polska Macierz Szkolna — nawołuje do zwalczania analfabetyzmu cały naród. Każdy, kto umie czytać, niech się pozuje do obowiązku nauczania analfabetów!

Mnogie Związki zadeklarowały swą pomoc. Między innymi: „Harcerstwo“, „Akcja katolicka“, „Katolickie Stow. Młodzieży Żeńskiej i Męskiej“, „Związek Zachodni“, „Tow. Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych“, „Macierz Szkolna w Gdańsku“, „Sokół“, „Zw. Biblioteczny“, a przybywają co dnia nowe szeregi gotowych do nauczania.

Najgoręcej też wzywamy wszystkich naszych Czytelników młodzież, dzieci umiające czytać, aby nie żałowały trudu i serdeczną opieką otoczyły szlachetną inicjatywę, mającą głębokie i wszechstronne znaczenie dla naszego kraju.

L. K.

HOŁD ODDANY WIELKIM ZASŁUGOM LITERACKIM I OBYWATELSKIM

Marja Rodziewiczówna, znakomita pisarka, która całe pokolenie przedwojenne, krzepiała, umacniała, która w każdym swym dziele wydobywała najwyższe duchowe wartości człowieka, dostała nagrodę literacką im. Orzeszkowej. Dwa Zarządy: „Kasy Literackiej“ z prezesem Ignacym Balińskim na czele, oraz „Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy Polskich“, z prezesem Ferd. Antonim Ossendowskim — złożyły swem orzeczeniem hołd tej Autorce, która nigdy ani jęczała, ani płakała nad dolą kraju, ale kreśląc stanowczemi rzutami, jego

położenie i warunki, w jakich trzeba było żyć, wskazywała mocą edbu w „Dewajtysie“, którego żary nie pała, burze nie łamią, który rozrasta się i z pokolenia w pokolenie trwa.

Mocny człowiek, z niezłomną wolą, z celem stanowczo określonym — idzie u niej zawsze do zwycięstwa. Dla tego powieści Jej dotąd są najpoczytniejsze, bo, nakazując wiarę we własne siły, niweczą apatie i pesymizm, budząc jednocześnie wiarę w nieśmiertelne życie narodu.

L. K.

PIĘKNY CZYN

Młody, zdolny, autor książek: „Groźny kapitan“, „Na pokładzie Lwowa“, „Czapka topielca“ i w rękopisie niedokończonyj psychologicznej powieści, młodzieniec ukochany przez rodziców, Jerzy Szarecki, dla którego życie, zdawało się, że gotuje wszystkie uśmiechy, przywozi z Afryki zarazek jakiejś choroby, na którą nie może znaleźć leku, ani ojciec jego, doktor, ani liczni koledzy dążący z pomocą — ratunkiem. — Umiera.

I, oto, Dr. Bolesław Szarecki tworzy fundacje związane z imieniem syna swego.

W Towarzystwie Literatów i Dziennikarzy Polskich składa 150 sztuk Akcji Banku Polskiego, aby odsetki od nich corocznie przeznaczane były na nagrodę dla człowieka młodego, w wieku do lat 35, za utwór literacki (poezje, nowele, powieści i utwory sceniczne) z pierwszeństwem dla utworów na tematy morskie.

Pozatem, tworzy fundusz im. Jerzego Szareckiego na rzecz dzieci literatów i dziennikarzy polskich, składając w Tow. L. Dz. P. 10.000, zł., z nadmienieniem, że sumę tę dopełniać pragnie a odsetkami pomagać tym, którzy, często bywają w ciężkiej potrzebie.

POMÓWMY O DZIECIACH

Pojęcia wartości pieniądza dzieci nie mają i mieć nie mogą. Jeśli jednemu dziecku damy monetę jednozłotową a drugiemu 5 dziesięciogroszówek to z pewnością to pierwsze będzie się czuło pokrzywdzone, że brat czy siostra dostało tyle pieniędzy, a ono tylko jedną sztukę. Ceni ilość nie jakość. Pomału, z wiekiem, chodząc do szkoły zaczyna rozumieć tajemnicę cyfr i wartości pojedynczych monet, ale to jeszcze nie wszystko. Nie dosyć znać wartość i siłę nabywczą pieniędzy, trzeba jeszcze umieć nimi obracać rozważnie. I to już jest rola rodziców, by wciągali w to swe dzieci. Franuś dostał od wujka 20 groszy — kupił za nie odrazu cukierków, których nie lubi, dlaczego? Bo te co lubi, to kosztowały więcej, więc co miał zrobić. A gdybyś, Franusiu, zamiast wydać zaraz te pieniążki schował je tymczasem aż znów ci jakiś grosik wpadnie? Uskładałbyś razem, mógłbyś kupić choćby te ulubione cukierki, a może coś ładniejszego? Podobała się ta myśl Franusiowi, zaczął składać grosiki i oceniać dobro oszczędności. Ale to jeszcze nie wszystko. Składanie pieniędzy w jakimś celu jest bardzo chwalebne, gdyż łączą się z tem małe wyrzeczenia chwilowych zachcianek i przewyciężanie siebie (uważać tylko należy, by nie przeszło w chciwość i skąpstwo), ale trzeba jeszcze nauczyć dziecko obierać rozsądne cele, by wydawszy wreszcie złożone pieniądze, nie czuło żalu że wydało je na próżno. Alinka składała bardzo gorliwie grosiki na piękną la'kę, którą zobaczyła w wielkiej wystawie sklepowej, nim jednak zebrała upragnioną sumę zobaczyła coś jeszcze piękniejszego, a wkońcu kierowana

przez rozumną matkę, zebraną sumką obdzieliła biedniejszych od siebie, kupując sobie tylko jakiś drobiazg, trzeba było widzieć tę rozradowaną twarzyczkę i oczka błyszczące, że ona, mała dziewczuszka, mogła otrzeć łzę troski.

Skąd dzieci biorą zwykle pieniądze? Zazwyczaj są to dary, rodziców lub bliskich krewnych z okazji świąt, imienin lub t. p. Ale znam takie dzieci, które zarabiały swoje grosiki. Nie mówię tu o dzieciach pracujących przedwcześnie, by ulżyć dołi swej rodziny. Dzieci te dostawały stałą pensję 50 gr. miesięcznie, za spełnienie drobnej posługi nie leżącej w ich obowiązkach. Więc Irenka ścierała codzień kurz z półeczki zastawionej kruchemi cackami, a Jurek sk'adał wszystkie przeczytane dzienniki w jednem miejscu, kolejno, po numerach, pilnował wycinków i wkładał książki do biblioteki, gdy przeczytane do rąk mu oddawano. Nie była to dorywcza praca, celem ulżenia chwilowego domownikom. Nie! To był ich obowiązek, z zapałem spełniany. A każde zaniedbanie groziło utratą. Uczyły się dzieci systematyczności, pilnowania obowiązków, a jaka radość, gdy z własnych naprawdę pieniądze mogły zrobić komuś jakąś przyjemność. Jurek i Irenka pisali też rachunki. Skrzętnie zapisywali swe wydatki i stan kasy. Prosta to była bardzo buchalterja, ale wystarczająca, by małym pracownikom wpoić zasadę: „pamiętaj rozchodzie żyć z przychodem w zgodzie“. A kochająca i rozumna matka umiała kierować temi wydatkami i nauczyć swe dzieci, że miło jest brać, ale jeszcze milej obdarzać.

Ewa.

HAFTY W KROŚCIENKU NAD DUNAJCEM

Niezawodnie sprawimy Czytelnikom „Rodziny Polskiej“ wielką przyjemność, podając naturalnej wielkości wzór do ozdoby serdaczka, lub sukienki dla dziecka uszytej z ciepłej wełny.

Zastanówmy się kolejno nad każdym z tych ubrań i dostosujmy haft do koloru wełny.

Jeżeli chcemy uszyć serdaczek dla naszej pociechy z białej szafirowej wełny, możemy wyszyć kwiaty w ta-

kich barwach jak są na fotografii. A więc! Kwiat środkowy ma koronę czerwoną z białymi promieniami, szypułki i kłosa zielone, ząbki biegnące wzdłuż linii, błyszczą się złotym kolorem i cekinami.



Haft w Krościenku nad Dunajcem.

Fot. Marja Stefkowa.

Dwa boczne kwiaty w kolorze jasno złotym mają wśród jasnych promieni, takie same czerwone, lecz barwa czerwona na fotografii ginie prawie zupełnie.

Zielone liście i w różnych kierunkach biegnące gałązki uzupełniają piękny, barwny wzór skomponowany

i wyszyty przez wieśniaczkę w Krościenku nad Dunajcem. Do ozdoby sukienki radzimy dobrać barwy kwiatów w ten sposób, by harmonizowały z odcieniem materiału.

Można dobierać rozmaite barwy, gdyż w haftach krościeńskich nie ma ograniczenia.

Wyszywają tam wszelkimi rodzajami przędzy, a więc wełną, bawełną, jedwabiem, włóczką, a nawet lacetem. W ostatnich czasach wprowadzono nawet cienowany kordonek, nowość ta jednak psuje artystyczne piękno motywu.

Do przybrania sukienek dziecięcych nie radzimy stosować cekinów, gdyż sukienki takiej nie można już prac swobodnie, a przecież dziecko z prawdziwym zamiłowaniem brucze swe ubranie.

Haft z Krościenka nie nadaje się zupełnie do wyszycia na samodziale, gdyż traci zupełnie swój oryginalny charakter.

Wyszyty na aksamicie zyskuje ogromnie, robi wrażenie jakby każdy kwiat wyrastał z głębin. Jeszcze jedna praktyczna rada. Starajmy się nie rysować wzoru na materiale ani ołówkiem, ani kredką, gdyż przejrzysty haft nie zakryje rysunku. Wzór jest tak prosty i nieskomplikowany, że można go wyszyć z pamięci.

Komu jednak sprawiałoby to wielką trudność: może zaznaczyć kierunek kwiatu, obwód liścia, czy gałązkę kolorową nitką, ścięciem fastrygowanym, którą następnie można łatwo wypruć. W ten sposób znaczą umiejscowienie motywu górale i góralki z Krościenka, Szczawnicy i Czerwonego Klasztoru nad Dunajcem.

W bieżącym roku olbrzymia powódź nawiedziła tamte okolice, unosząc z sobą mienie ludzkie, odzież i sprzęty. Wiele cennych zabytków kultury i sztuki poniosła woda, a obecne pokolenie garnie się więcej do strojów miejskich i lichej tandety.

Starajmy się więc ratować i utrzymać resztki zdobnictwa ludowego, które w każdym zakątku naszej ziemi miało swój odrębny charakter.

Marja Stefkowa.

ZWIĄZEK „PAŃ DOMU” UŁATWIA GOSPODARKE, TWORZĄC „NOWE WYDZIAŁY INFORMACYJNE”

W dniu 7 grudnia odbyło się zwykle zebranie członkowskie Oddziału Warszawskiego Związku Pań Domu.

Referat p. t. „Organizacja gospodarstwa domowego” wygłosiła p. Zofja Zdanowska. Prelegentka omówiła przychylności trudności gospodarczych, rodzaj ustosunkowania się do nich i sposób ich pokonywania przez racjonalną organizację prac domowych.

Nawiązując do uchwalonego przed 2 laty przez Oddział Warszawski wniosku o „Niecałowanie w rękę”, Oddział Z. P. D. w Łukowie zwrócił się za pośrednictwem Zarządu Głównego do pań domu w stolicy z wnioskiem o niecałowanie dzieci przez osoby obce i prośbą o jaknajszersze propagowanie obu wniosków w imię higieny. Wniosek Oddziału Łukowskiego uzupełniony dodatkiem przewodniczącej p. Lutostańskiej: „I otoczyć dzieci specjalną opieką tam gdzie jej potrzebują”, zebranie przyjmuje, uchwalając jednocześnie drugi wniosek przewodniczącej o „Zniesienie całowania w rękę pań domu przez pracownicę domową.

Wydziały Oddziału Warszawskiego Z. P. D. podają do wiadomości:

Wydział Zakupów dla wygody p. t. członkiń zorganizował zbiorowe zakupy, jak: masło, wędliny, grzyby, miód i t. p. Członkinie zechcą się informować w lokalu wzorowni Z. P. D. w godzinach od 11—14-tej.

Poradnia Związku czynna w środy od 12—14-tej.

Wydział Gospodarczy w poniedziałki, środy i piątki w godz. od 12—14-tej, udziela porad, dotyczących organizacji przyjęć towarzyskich.

Wzorownia Związku czynna codziennie w godz. od 11—14-tej, w poniedziałki i środy także od 17—19-tej.

Cieszące się dużym powodzeniem pań członkiń pokazy gospodarstwa domowego, wznowione zostaną po przerwie świątecznej 15 stycznia.

Następne zebranie odbędzie się w dn. 4 stycznia 1935 r.

JAK I Z CZEGO JA TO ZROBIĘ?

Kultura i estetyka dnia codziennego, które niedawno były hasłami nieśmiało kolportowanymi zaledwie przez jednostki odczuwające ich potrzebę, znajdują coraz więcej bojowych pla-

cówek, walczących o przeszczepienie ich w życie, o narzucenie ich niezbędności właśnie — naco dzień.

Jedną z takich placówek jest redakcja „Ja to zrobię”,

mieszcząca się wraz z „Poradnią” przy ul. Świętokrzyskiej 17 (Tow. Wyd. „Bluszcz”). Praca tej placówki nie ogranicza się do redagowania pisma, poświęconego wyłącznie artystycznym robotom ręcznym, którego zadaniem jest błędnie dotąd szerokich rzesz kobiecych po bezmiarze brzydoty i tandety zdobniczej, sprowadzić ku prawdziwemu pięknu.

Pismo rozwija smak, ale nie spełniłoby całkowicie swego zadania, gdyby nie umożliwiło swym czytelnikom praktycznego zetknięcia się z rękodziełem. I to właśnie czyni „Poradnia”.

Dla spopularyzowania tych placówek, stworzonych jedynie dla podniesienia wyczucia estetycznego szerokich mas, organizowane są na miejscu wystawy, z których dwie już się odbyły z pełnym sukcesem.

Pierwsza p. t. „To co najmodniejsze”, o której pisaliśmy w poprzednim zeszycie „Rodziny Polskiej”, poświęcona była zagadnieniom mody i estetyki osobistej. Druga, trwająca przez cały grudzień r. ub., miała na celu troskę o estetykę wnętrza i kłopotła się „za miliony” „Jak i z czego ja to zrobię”.

I trzeba przyznać, że z wyjątkowym doбором i starannością skompletowane były na przestrzeni dwu sal wszelkie ekspozycje o charakterze zdobniczo-dekoracyjnym. a przy wielu z nich nie brakło nawet działu dydaktycznego, ukazującego nam eksperymentalnie stronę techniczną wykonania danej rzeczy, włączając z pochodzeniem surowca.

A przecież istotnym celem wystawy było pokazanie co można zrobić z polskiego surowca przy odrobinie pomysłowości, ale

i technicznego przygotowania. Wśród nagromadzonych ekspozycji najokazalej wystąpił ARW (Artystyczne Rękodzieło Wsi), podając nam autentyczne wyroby włóścian z całej Polski.

Podziwiałoby się płótna haftowane (lub drukowane ręcznie) motywami poleskimi, wołyńskimi, kurpiowskimi, śląskimi; ceramikę kurpiowską, czy kaszubską. Zachwyciłoby oczy wyroby z cyzelowanego drzewa: lichtarze kurpiowskie, pudełka i skrzynki dłubane w jednym kawałku drzewa (Karpaty) oraz artystyczna metalo-intarsja również z Karpat, w postaci pięknych bransolet kutych w żelazie, a zdobnych srebrem i miedzią.

Poza folklorem, przystosowanym do potrzeb miasta, nie brakło zdobnictwa o wartościach modernistycznych. Milanówek wystąpił z jedwabiami o deseniach współczesnych, Żyrardów zademonstrował najnowsze gatunki płócien, a Zofia Raczyńska-Arciszewska dała nam na pokusę całą gablotę wyrobów z drzewa: guzików, klamer, elipsów, pierścionków i bransolet powleczonych kolorową laką i zdobnych, tak modnymi dziś, monogramami. Śmiało można powiedzieć, że tak pożądane na świecie „articles de Paris” znalazły w Zofii Raczyńskiej-Arciszewskiej poważną zawodniczkę.

Wystawę opuszczało się z żalem i jednocześnie mocnym postanowieniem powrotu dla jeszcze dokładniejszego zapoznania się z jej szczegółami i nauczenia się: jak i z czego samej to zrobić.

Marja Ankiewiczowa.

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

Dostają ordery za granicą naszego państwa. — P. Wanda Ładzina, b. posłanka na Sejm i zasłużona działaczka społeczna, otrzymała od rządu francuskiego medal srebrny Odrodzenia za zasługi położone podczas wojny. P. Ładzina pracowała 4 lata na froncie jako pielęgniarka Czerwonego Krzyża i od kilkunastu lat prowadzi skuteczną propagandę na polu zbliżenia kulturalnego obu narodów.

Pielęgniarki zorganizowały zjazd, na który przybyło z całego kraju 250 delegatek. Na intencję zjazdu została odprawiona Msza św. o godz. 9-ej rano w kościele PP. Wizytek. Zebranie odbywało się we własnym gmachu Stow. Zawodowych Pielęgniarek przy

ul. Koszykowej 78. Zjazd zagałła prezeska Stow. p. Suffczyńska, przewodniczył dr. W. Szenajch. — Szereg niezmiernie interesujących referatów wygłosili: dr. Zajączkowski, o higienie psychicznej, na którą dziś wielki nacisk w medycynie kłaść należy. O „Znaczeniu pedagogicznym i społecznym organizacji Czerwonego Krzyża w szkołach” mówiła p. H. Ligutko. O „Pielęgniowaniu chorych w ich domach” p. J. Pilecka. Zjazd zakończyło zwiedzanie instytucji szpitalnych i społeczno-higienicznych w mieście. — Zjazd był dowodem, że pielęgniarstwo, które ma tak ważne znaczenie w zmniejszaniu się śmiertelności, rozwija się w Polsce bardzo dodatnio.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Wiedzieć każda z nas kobiet dziś, więcej aniżeli kiedykolwiek, powinna o zakładach dobroczynnych i dopomagać im bodaj najdrobniejszym datkiem. Przy ulicy Mochnackiego 11 m. 1 (parter), tel. 8-72-24 mieści się centrala błogosławionego stowarzyszenia pod nazwą „Dzielimy się”, której działalność doskonale obmyślana, godna jest największego poparcia. Jedno śniadanko dla dziecka, jedno jajko dziennie, nawet grosz jeden dziennie, byle stale, byle pewnie, byle codziennie — stanowią tam wiele. Małym kosztem i trudem ratuje się bliźnich, a sobie kupuje się spokój sumie-

nia, bez którego żadne życie nie może być miłym.

Wiedzieć pożytecznie, że dyrekcje kolei państwowych we wszystkich większych miastach kraju wprowadzają **dostarczanie bagażu do domów adresatów**. Za dostawę pobierane będą ceny 1.30 zł za pierwsze 50 kg, za każde następne dopłata w wysokości 90 gr. Oczywiście ostrożność w powierzaniu bagażu zachować należy, zlecając go jedynie miejscu ku temu przeznaczonemu, o czym oznajmi każdy zapytany dyżurny policjant.

Wiedzieć musi i powinna rozszerzać o tem wiadomość każda pani domu, zwłaszcza każda matka, że analiza mleka, sprawdzanego ostatnio do Warszawy wykazuje, że coraz częściej zawiera ono prątki gruźliczne. Słaby nadzór nad bydlęciem na wsi przyczynia się do udoju krów chorych na gruźlicę. Niewątpliwie rozpowszechnianie mleka zakażonego przyczynia się do rozwoju zachorowań na gruźlicę wśród dzieci. Dzieci zagrożonych gruźlicą mamy w Warszawie 40.000. — Kupowanie mleka od przekupki jest stanowczo niebezpieczne. „Agril” jedynie ma mleko pewne.

NA ŻĄDANIE CZYTELNICZEK

Pączki domowe. 1 kg mąki, 4 dk drożdży, 8 jaj, ½ filiżanki topionego masła, ½ filiżanki cukru, łyżeczka od kawy soli, mleka ile zabierze, kieliszek araku. — Z trzeciej części mąki zrobić zaczyn z 4 dekami drożdży, rozartem uprzednio z 2 łyżkami cukru, gdy się wyrusza dodać: resztę mąki, 7 żółtek, 1 całe jajko ubite doskonale, kieliszek araku, ½ filiżanki cukru, ½ filiżanki masła topionego i łyżeczkę od kawy soli, mleka ile ciasto zabierze, żeby było wolne. Gdy się wyrusza, robi się nieduże pączki, wycinając szklanką, nadziewając w środku, obsączonemi konfiturami lub marmoladą owocową. Pączki układa się na tacy czy desce, pokrytej czystą ściereczką, posypaną mąką, a gdy się poruszą, smaży się na gorącym szmalcu i zaraz po wyjęciu posypuje cukrem z wanilią. Gdy chce się otrzymać ładne obrączki na pączkach, obrócićwszy je podczas smażenia, nakrywamy na chwilę rondel pokrywą. Z tej proporcji wychodzi przeszło 90 pączków.

Chruścik bardzo kruchy. 4 żółtka, kieliszek araku, mąki ile zabrają, żółtka wyrobić doskonale i wstawić ciasto na godzinę do zimna. Rozwałkować najcieniej na stolnicy, wycinać nieduże chruściki i smażyć na rozpalonym szmalcu, gdy osiągną blad złoty kolor, wyjmować ze szmalcu i zaraz posypywać cukrem z wanilią. Z tego przepisu, o ile są duże jaja, wychodzą 2 półmiski chrustu.

X. Y. Z.

* * *

Paszтет z zająca. 1 przodek zajęczy, 25 dk. wieprzowiny od karku, 15 dk. słoniny, 20 dk. wątróbki cielęcej, 4—5 grzyby, łyżka masła, korzenie. — Przodek zajęczy, drobka i główkę nastawia się w niewielkiej ilości wody z włoszczyzną i korzeniami (parę listków bobkowych, angielskie ziele, pieprz, jeśli kto lubi, można dodać dwa ziarenka jałowca) i gotuje na wolnym ogniu. Osobno nastawia się słoninę w czystej wodzie i gotuje, dusi

wieprzowinę i osmaża z dwu stron wątróbkę. Gdy mięso już miękkie, obiera się przodek z kości, wyjmuje z główki mózg, ozorek i przepuszcza przez maszynkę razem ze słoniną, wieprzowiną i wątróbką — dwukrotnie, a potem przeciera się przez sito, podlewając smakami z mięsa i smakiem wygotowanym z grzybów. Sporą łyżkę masła lub innego tłuszczu rozpuszczamy w ron-

dlu (najlepiej kamiennym) i całą przetartą masę wkładamy do tegoż rondla, dosalamy do smaku i ciągle mieszając, smażymy na wolnym ogniu tak długo, aż masa nie odpada z łyżki. Wtedy pasztet już jest gotowy, przekładamy go do salaterki lub formy i stawiamy do zimna, by zastygł. Tak przyrządzony pasztet może stać długie tygodnie nie psując się, ni zyschając.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Wanda B... z Szarbska list nasz niezawodnie otrzymała, bo, trzeba przyznać, że poczta znakomicie nas obsługuje. Dla pewności adres, który Pani sobie życzyła mieć, jest następujący: P. Aniela Jeziorańska, Warszawa, Nowowiejska 32 m. 7. **Dom dla samotnych kobiet**, jaki p. Jeziorańska organizuje, musi być wielką potrzebą, bo i w Warszawie dużo kobiet zgłasza się o informacje, któremi chętnie służymy.

P. Mili z Rzeszowa. Zupełnie podzielamy zdanie Pani, że w najmniejszym kącie można sobie stworzyć wielki świat, jeśli się tylko coś kocha, jeśli się ma jakieś zamiłowania, stworzy obowiązki i cele. Niech Pani organizuje wspólne nabywanie i czytanie książek, to doskonała myśl i wiem, że nawet paniom ze wsi wybornie się udaje, choć komunikacja trudniejsza aniżeli w niewielkim mieście. Teatry amatorskie są także doskonałą rozrywką. Gimnastykują pamięć, uczą dobrych ruchów i panowania nad niemi. A nadeszłyście wpływają na piękną dykcję, która u nas jest bardzo zaniedbana. Dobra i staranna wymowa, to niemal pierwsza legitymacja starannego wychowania.

P. Orwicz w Tarnopolu zechce łaskawie napisać nam o swej obecnej działalności w zakresie teatrów ludowych. Czy zawsze rozwijają się należycie? Wyrzucamy sobie, że dotąd nie pisaliśmy obszerniej o pracy Pana i pragniemy to jaknajrychlej uskutecznić, tem więcej, że uprzedził nas „Kurjer Warszawski“, w którym p. Z. Zaleska wspomina o przedstawieniu przez Pana inscenizowanym w Buczniowie, niezmiernie interesującym. Adres Redakcji. Z Nowym Rokiem najlepsze życzenia.

P. Gordziałk... Piotrków Trybunalski. Czapnictwo u nas kuleje. Szczegóły zbierzemy i listem wyślemy. A to taka ważna sprawa i cała w rękach — nienaszych.

Pani Elizie Kondr... w Lublinie. Potrzeby tego małego skrawka morza jaki posiadamy są tak olbrzymie, że na cokolwiek daje się grosz ofiarny — czyni się dobrze. Oczywiście należeć do Stowarzyszenia Ligi Morskiej i Kolonjalnej powinien każdy, kto się mieni kraju obywatelem. Ile daje? Jego sprawa. Jego możliwości, dochodów i sumienia. Ale niedość dawać. Do dawania zachęcać innych. Przy każdej sposobności zdobyć grosz ofiarny, choćby najmniejszy, w imię zasady: z małych groszy, tworzą się duże sumy. Tych dużych sum nam trzeba. Świat cały dąży do utrzymania pokoju. A jednocześnie świat cały się zbroi. Czytamy ciągle o tych nowych pancernikach, spuszcanych na morza. O tych setkach i setkach samolotów, gotowych do ataków. Czy możemy zasypiać spokojnie w nocy, nie przyczyniając się bodaj groszem — na cele marynarki wojennej w dzień? Cieszymy się z listu Pani, przychodzi nam z pomocą płomienna dusza i w założeniu „Oddziału Kobiet“ służymy wszelką informacją. Nasz Oddział w Warszawie, dzięki pracy członkini z zarządu i poza nim — rozwija się. Za mało niezawodnie na to, co może zadowolić nasze chęci — ale wytrwanie, wola i miłość sprawy zrobią swoje. Żeby zapalać — trzeba płonąć!

P. Marcie Grab... w Piotrkowie Trybunalskim. Karta nasza z informacją doszła łaskawą Panią. Przepraszamy najgorzej, że trochę opóźniona, ale nie mogliśmy trafić

na źródło pewnej informacji. Będziemy bardzo wdzięczni, jeśli nas Pani zechce zawiadomić o tem, jaki i czy dobry obrót wzięła sprawa. Życzymy, żeby jaknajlepszy.

P. Miecz. Rogow... w Osieczynie, p. Wargowo. Przesyłamy najpierw przeproszenie za opóźnioną odpowiedź, której treść dziś przesyłamy. „Kolo Imienia Wandy Malczewskiej“ zakłada niezmiernie pożyteczną i potrzebną instytucję, a mianowicie „Dom dla samotnych pracujących kobiet“. Pani będzie łaskawa zwrócić się pod następujący adres listownie: P. Aniela Jeziorańska, Warszawa, ul. Nowowiejska 32 m. 7. Stamtąd nadejdą wszelkie informacje wraz z regulaminem, obowiązującym we wszystkich zbiorowych zakładach. Życzymy Sz. Pani jaknajskuteczniejszego i zadowalającego obie strony — porozumienia. O łaskawą pamięć prosimy, gotowi zawsze do usług dla naszych Czytelniczek.

P. Wandzie Mierz... w Opatówku. Dziękujemy za dobre słowa dla pisma. Zastosujemy się do życzeń Pani, wdzięczni, że interesuje się Pani naszą pracą. Choćby setki listów przychodziło, to zawsze będą mile witane, bo tylko wymiana myśli tworzy niezbędny kontakt duchowy, jaki powinien istnieć między redakcją a czytelnikami.

„Samotnej“ w Warszawie. Zgłoszenia wszystkie przyjmuje, rad udziela, objaśnienia daje o „Domu dla samotnych kobiet“ w każdy czwartek o godz. 6-ej p. Aniela Jeziorańska. Poza tem interesantki z Warszawy mogą się porozumieć telefonicznie, tel. 9-51-68 o godz. 10½ oraz tym samym telefonem 3-4 popołudniu. P. Marja Batojowska przyjmuje codziennie interesantki od godz. 2-3, tel. 6-57-79. Piśmienne zgłoszenia adresować do pani Anieli Jeziorańskiej, Warszawa, ul. Nowowiejska 32 m. 7.

P. Zofji Marz... Niech Pani zaobonuje „Naokoło Świata“. Adres redakcji: Warszawa, Zgoda 12. Redakcja niezmiernie staranna, treść zajmująca, przeniesie Panią właśnie tam, gdzie Pani lubi bodaj wyobraźnią przebywać, w obce kraje i obyczaje. Ilustracje piękne i cena bardzo przystępna. Może Pani poleci przysłać sobie pojedynczy zeszyt, który kosztuje 1.50 zł i oceni wtedy, że warto za cenę 4.50 zł kwartalnie mieć w domu i ładne wydawnictwo i dobrą a zajmującą treść.

P. Wandzie Zal... w Radomiu. List otrzymany. Odpowiedź pocztą wysłana. Dziękujemy i o pamięć dalszą prosimy.

**„Od Tatr wyniosłych po Bałtyku fale,
Jedna króluje wszędzie dziś zasada:
Ten się bogaci kto oszczędza stale
I grosze swoje do PKO składa.”**

Wszystkie kobiety polskie, doceniające wartość Morza dla potęgi państwa naszego, prosimy o zapisywanie się na członkinie „Oddziału Kobiet Ligi Morskiej i Kolonjalnej” Warszawa, Widok 10, parter.

Członkinie mają zapewnione znaczne ulgi przy wycieczkach zbiorowych lądem i wodą, o ile będą zaopatrzone w karty członkowskie.

Przewodnicząca „Oddziału Kobiet L. M. K.”

L. KOTARBIŃSKA.



ROZRYWKI I UMYŚLOWE.

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

REBUS



WSZYSTKIM CZYTELNIKOM I PRZYJACIOŁOM NASZEGO KĄCIKA, KTÓRZY NADEŚLALI NAM SWOJE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE, NAJSERDECZNIEJ DZIĘKUJEMY I SŁEMY NAWZAJEM SZCZERE ŻYCZENIA „DOSIEGO ROKU”!

1. REBUS ŚWIĄTECZNY (5 pkt.).



PIERWSZY KONKURS KWARTALNY.

Po zakończeniu w numerze grudniowym IV konkursu kwartalnego, przystępujemy obecnie do następnego, pod warunkami niezmiennymi.

Termin nadsyłania zadań trzytygodniowy, licząc od daty otrzymania numeru.

SZARADZIŚCI!

POPULARYZUJCIE

„RODZINĘ POLSKĄ”!

DLA SZARADZISTÓW

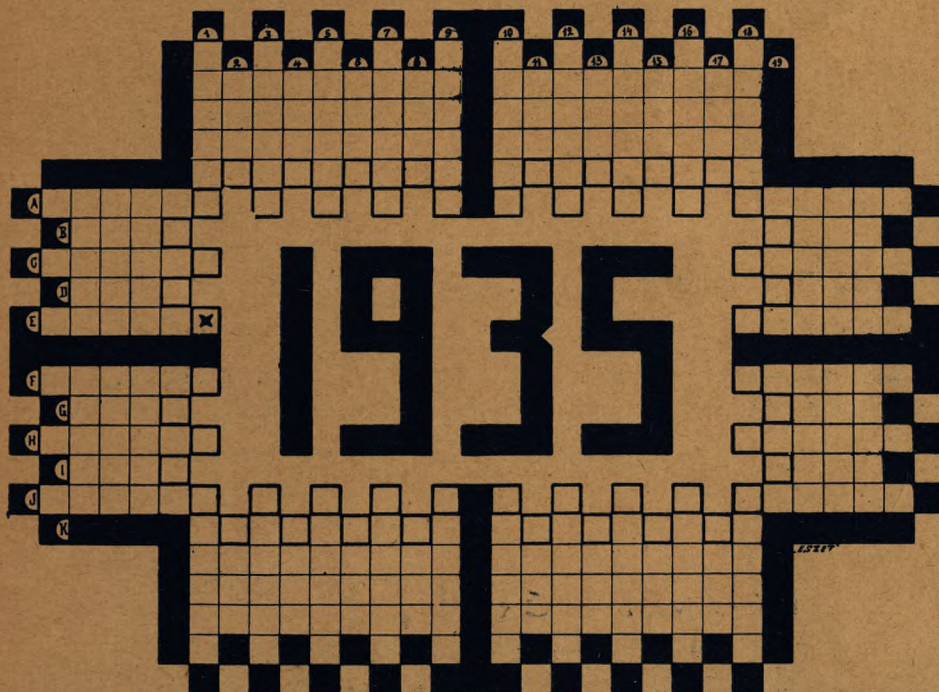
ulubionym pismem jest „ROZRYWKI”, (org. warsz. Klubu Szaradzystów)! Numer styczniowy, znacznie powiększony, opuścił już prasę.

Kwartalną prenumeratę (tylko 2 zł.) posyłać można przekazem rozrachunkowym. Adres: Klub Szaradzystów — Warszawa, Żórawia 45 m. 10. Do nabycia w kioskach „Ruchu”, lub żądajcie bezpłatnych numerów okazowych!

Treść rebusa — bardzo dla nas wszystkich miła — składa się z pięciu wyrazów o następujących literach początkowych: N, w, w, c, o.

Cz. i W. Kaczyński (czł. Kl. Sz.).

2. LOGOGRYF NOWOROCZNY (6 pkt.).



Po wpisaniu poziomo i pionowo wyrazów (32 sześcioliterowych i 24 czteroliterowych) wedle poniższych znaczeń, litery w grubszych kratkach wieńca środkowego, czytane (poczynając od kratki z gwiazdką, w kierunku zegarowo-węzowym) dadzą rozwiązanie, które podać można bez wyrazów pomocniczych.

Wyrazy poziome: A. Schwytanie. A18. Popęd (bodziec). B. Cios (zranienie). B19. Stacja wypoczynku wojska. C. Zgnilizna (szkorbut, choroba pszczoł). C18. Niezadowolone (kaprys). D. Prastare pismo. D19. Szaniec. E. Ubiór na konia. E18. Rozgardzaj. F. Duża kałuża. F18. Zawadźka (awanturnik). G. Mleko naraz udojone. G19. Rodzaj bata (kańczug). H. Tornister. H18. Tłuk (kafar, baba). I. Wykrzyknik oznacz. skok. I19. Spiączka (człowiek ospały). J. Siedlisko. J18. Geślarz.

Wyrazy pionowe: 1. Brednie (balamuctwa). 1J. Woń przyjemna (zapach). 2. Złuda (halucynacja). 2K. Wydrążenie (puste miejsce). 3. Rodzaj obuwia. 3J. Zdarzenie (wypadek). 4. Skala podwodna. 4K. Rzucenie (ciśnięcie). 5. Schronienie (kryjówka). 5J. Żyd przechrzcony. 6. Spichlerz komorowy (zbożownia). 6K. Hachel. 7. Podmuch (technienie). 7J. Zgiełk. 8. Oplata za przewóz. 8K. Klótnia (waśń). 9. Przełożony bractwa. 9J. Zwolnienie (dispensa). 10. Nicpoń (coś lichego). 10J. Małe koło zębate. 11. Pień drzewa zrąbanego. 11K. Należność. 12. Gość nieproszony. 12J. Łobuz. 13. Sączek. 13K. Wypustka na brzegach odzieży. 14. Danina z miodu (opłata od barci). 14J. Związek (przymierze). 15. Most zwodzony. 15K. Odłam (blok). 16. Okrycie maskaradowe. 16J. Drugi głos (wtór). 17. Chybione uderzenie bilardowe. 17K. Wychowaniec (uczeń). 18. Małe dziecko (niemowlę) pieszczotliwie. 18J. Płacz (narzekanie).

„Eszet” (czł. Kl. Sz.).

Czytajcie i rozpowszechniajcie pisma katolickie

Dobra książka — to skarb

Dla dziewcząt:

BASIA — PAULINA BUDZYŃSKA

Piękne opowiadanie o choince Basi, jej święconem i o pierwszej Komunii św. Słowa tchną ciepłem kochającego serca.

Str. 21, cena 40 gr.

LALECZKA — Hr. BEAUREPAIRE-LOUVAGNY

Dzielna ta dziewczynka po odjeździe matki, wzięła na siebie troskę o utrzymanie liczej rodziny i pomimo wielu trudności, nie tylko rodzinę, w największej nędzy będącą, utrzymała, ale jeszcze innym dobrze czyniła i na dobrą drogę ich nąprowadzała.

Str. 82, cena 80 gr.

Dla chłopców:

WIESŁAWEK — WANDA GROCHOWSKA

Dzieje chłopczyka, co koniecznie chciał poznać rycerzy i jak sam później został rycerzem z pomocą naszej świętej królowej Jadwigi, którą uwielbiał i wiernie jej służył.

Str. 58, cena 60 gr.

JENIEC KORSARZA — JÓZEF SPILLMANN

Łosy porwanego przez korsarza chłopczyka, który, pomimo największego ucisku i prześladowania, od wiary swej nie odstąpił i wkońcu przez przyjaciół wybawiony, szczęśliwie do rodziców swoich powrócił.

Str. 86, cena 80 gr.

Dla starszych:

WIĘCEJ UFNOŚCI — Ks. A. MAJEWSKI

Książeczka na czasie. Wskazuje nam na nieskończoną dobroć, miłość i miłosierdzie Boga. Jest kojącym lekarstwem dla dusz strwożonych. Uspokaja je co do życia przeszłego, teraźniejszego i przyszłego.

Str. 53, cena 40 gr.

KU WYŻYNOM ŚWIĘTOŚCI — Ks. A. MAJEWSKI

Złote myśli, podane tu na kilkudziesięciu stronicach, wyjaśniają, na czym świętość polega i wskazują drogę do tej świętości.

Str. 52, cena 40 gr.

WANDA MALCZEWSKA — Ks. S. P. M.

Źródłowo opracowany i przepięknym stylem napisany życiorys tej „najskromniejszej postaci w porzbiórowych dziejach Polski”.

Str. 306, cena 2.— zł.

ZA MAŁO ZNIWIARZY — PAWEŁ MANNA

Ks. Arcybiskup Nowowiejski, w przedmowie do tej książki, pisze co następuje: „Potrzeba nam jej było.

Wprawdzie się mówi i pisze wiele o potrzebie Misyj, o środkach, które dają nam możliwość osiągnięcia pragnień, serca nasze tłoczących, i o wielu innych rzeczach, które wskazują drogę do Misyj, ale takiej książki, któraby ujmowała wszystko w jednym dziele, nie mamy. Niechże więc ta książka „Za mało żniwiarzy” szerzy te pojęcia, które nas prowadzą do najszlachetniejszych celów na ziemi”.

Str. 272, cena 2.40 zł.

Z a m a w i a ć :

WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNOW

WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 71.